Dziś w numerze: W rzymskiej fabryce snów ● Z celi śmierci... na wolność ● Poszukiwanie w dzielnicy Milwaukee ● Zapomniani autorzy ● Agent A-54 ● Recenzje ● Wiersze ● Felietony ● Polonica

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 15 (377)
17. IV. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

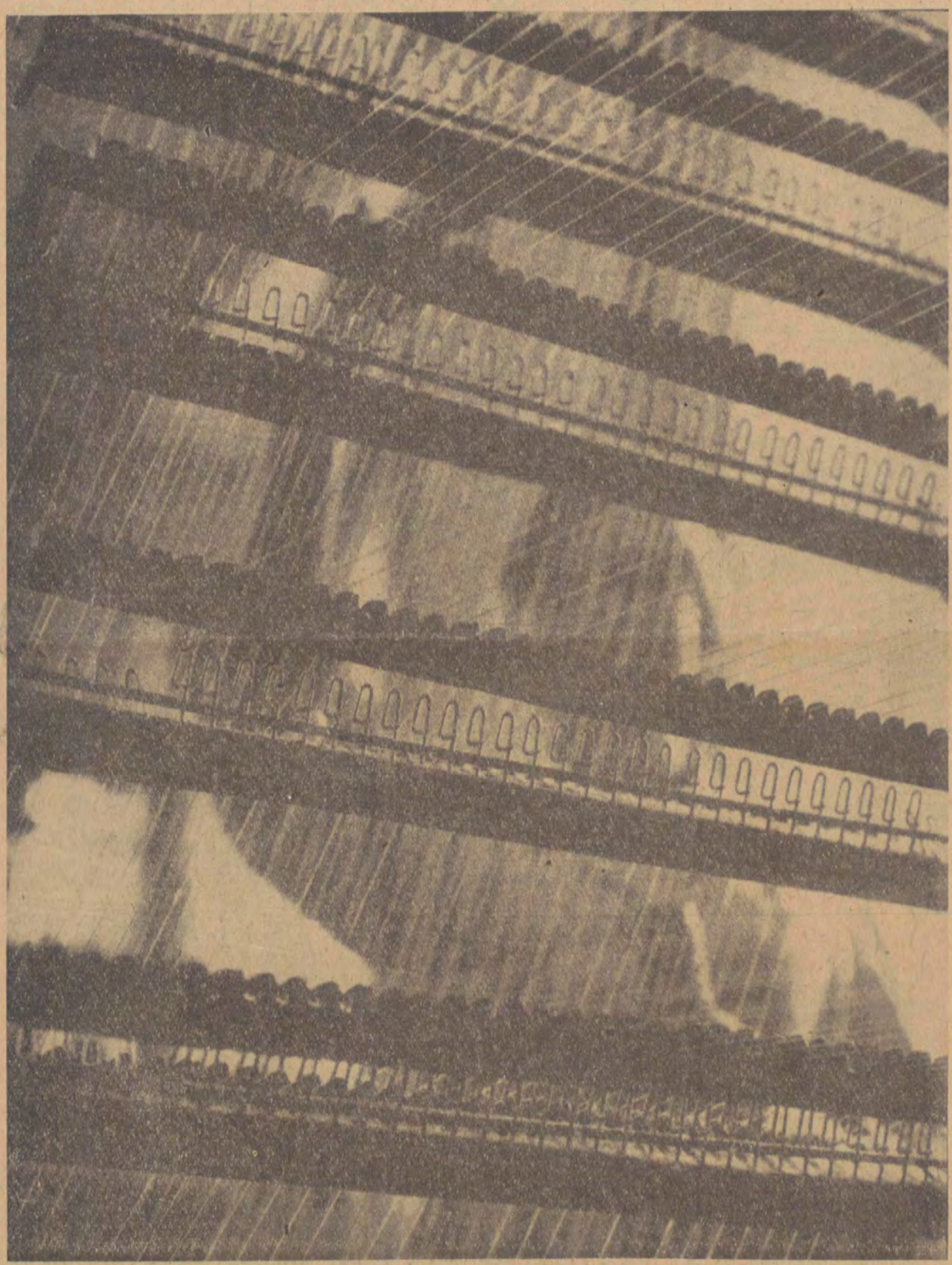

Fot. W. Parys

KONRAD FREJDLICH

CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI...

Ano, jest się tylko człowiekiem. W ciągu kilku dni grzebania się w papierach i szpargałach, wyciąganych dla mnie z szaf, biurek, skoroszytów, gdzieś się zapodziewa reporterska rutyna. Krótko mówiąc — ulegam wzruszeniom: od nastroju wzniosłości do najwyższej pogardy, od podziwu do niesmaku.

Spróbujcie zresztą przeczytać na zimno, nie uroniwszy sobie łezki, pierwsze lepsze wyrwane z kontekstu zdanie z zażalenia pisanego przez córkę-robotnicę, w imieniu matki-robotnicy: „Wszystkie swoje bolączki i sprzeczki ze współpracownicami opowiadała mi mamusia z żalem głębokim i wyjątkowym smutkiem, a sprzeczki z współpracownikami windy zawsze były nacechowane troską matki o bezpieczeństwo placówki, żeby tylko nie było wypadku z jej przyczyny na windzie". Ale w tekście znajdziemy i takie: „Obywatelka kierowniczka niech zrewiduje swoje postępowanie w czasie okupacji i zrehabilituje się przed Wami, towarzyszu. Taki człowiek nie powinien być na stanowisku, to mówią w tramwajach nawet ludzie". Jak widać nawet największy żal i smutek nie przeszkadza w obrzucaniu najczarniejszym błotem ludzi, którzy przypadkowo weszli nam w drogę. Nie chodzi mi zresztą wcale o przedstawianie fenomenów psychologicznych. Chce tylko zasygnalizować, że gdyby było możliwe opublikowanie wyboru podobnych autentycznych lektur, jak się wydaje drukiem pamiętniki czy wspomnienia, antologia skarg i zażaleń stałaby się na pewno bestsellerem roku.

Nie wszystkie dokumenty dadzą się z grubsza zaklasyfikować przedmiotowo [1]). Skargi na stosunki w zakładach pracy wytykające kradzieże, nadużycia czy marnotrawstwo; skargi na niesłuszne albo niezgodne z wymogami prawa zwolnienie z pracy; skargi na członków partii i bezpartyjnych, na zwierzchników i przełożonych; skargi indywidualne i zbiorowe, z pobudek czysto osobistych, albo podyktowane interesem społecznym; pisemne i składane ustnie. Skargi, skargi, skargi. Do samego referatu listów i inspekcji KŁ PZPR wpłynęło ich w ubiegłym roku 1 095. Ale skargi wpływały też do komitetów dzielnicowych i zakładowych. Do dyrekcji fabryk i zjednoczeń. Do organizacji społecznych i związkowych, czasem jedna i ta sama skarga do kilku organizacji jednocześnie.

W tym miejscu reporter nie może się oprzeć przemożnej chęci zacytowania oficjalnego, rzetelnego dokumentu, który nam wytłumaczy, dlaczego skarg jest więcej niż spraw do naprawienia: **„W szeregu zakładach skargi i zażalenia są traktowane wciąż jeszcze formalnie, nie są rozważane przez kierownictwa zakładów jako forma oddolnej krytyki, sygnalizującej o pewnych nieprawidłowościach, nie zawsze służą do walki z tymi nieprawidłowościami i nie są wykorzystywane celem** *prawidłowego ułożenia stosunków międzyludzkich* (podkreślenie moje — K. F.). Rzutuje to na działalność całego przedsiębiorstwa lub instytucji. Dzieje się tak przeważnie jeszcze w średnich i małych zakładach

Dalszy ciąg na str. 4

FELIKS BĄBOL

Klienta TO NIE OBCHODZI..

Przed dwoma dniami bawili w tej fabryce ; słowie, interesujący się przemysłem lekkim. Spędzili cały dzień, szukając materiałów do własnych ocen, argumentów na komisję, może nawet danych do wystąpień na najbliższej sesji. Pytali o dostawy tkanin na rynek, o kary umowne płacone handlowi za niedotrzymywanie ich terminów, o przyczyny hamujące postęp w przemyśle ubierającym Polaka roku 1966. Jedna z posłanek zapytała wręcz: dlaczego barwne kretonowe chustki na głowę, w których chodzi co najmniej połowa kobiet w naszym kraju, tak bardzo się kurczą po praniu...

Ta rozmowa z posłami skłaniała wszystkich rozmówców w fabryce do szczerości w wypowiedziach, więc i autor niniejszego artykułu, który kilkadziesiąt godzin później znalazł się w „Obrońcach Pokoju" zastał jeszcze tę samą atmosferę, ten sam nastrój poszukiwania dróg wyjścia, dróg naprawy rzeczypospolitej bawełnianej.

Otwartość z jaka ludzie odpowiedzialni za kombinat przedstawiali mi sytuację, była budująca. I może warto o niej pisać (o sytuacji, a nie o otwartości) choćby po to, aby wyjaśnić, dlaczego sporadycznie oglądamy w sklepach bele tkanin bawełnianych, które daremnie i długo czekają na klienta dlaczego niektóre koszulówki drą się szybciej niż podobne z innego okresu produkcji, dlaczego jednym słowem tzw. masowy odbiorca w naszym kraju, „konsumujący" jak by powiedział GUS 18.8 m tkanin bawełnianych rocznie, wchodząc do sklepu tekstylnego i oglądając półki z towarem jeszcze nie skacze z radości.

Uniontex czyli „Obrońcy Pokoju" w Łodzi mogą dać odpowiedź na te pytania w imieniu własnym i chyba większości podobnych fabryk przemysłu lekkiego w naszym kraju.

* * *

Z tej fabryki żyje co najmniej 25 tysięcy ludzi w Łodzi, jest to więc pracodawca największy w mieście, jeśli zatrudnia połowę tej liczby ludzi, czyli dokładnie 12.400 robotników, urzędników, rzemieślników i pracowników innych kategorii i zawodów. Największy i poza „Dzierżyńskim" najstarszy król bawełny. A że to gigant, więc i jego historia pełna jest przemian. Najczęstsze ostatnio dotyczyły jednak strony formalnej. Po Scheiblerze i Grohmanie fabrykę nazwano po wojnie ZPB dodając arabską liczbę, potem były to zakłady „Stalina", potem znów przyszła kolej na decentralizację i na utworzenie samodzielnych zakładów („Obrońców Warszawy", „Bohaterów Westerplatte", „Mickiewicza" itp.), by wreszcie, akurat w okresie wprowadzania nowych zasad zarządzania i stopniowej likwidacji dyrektyw, nazwać wszystkie te odrębne zakłady kombinatem „Obrońców Pokoju".

Po tych wszystkich zmianach formalno-organizacyjnych urosła ranga kombinatu choćby dlatego, że jego produkcja tkanin

Dalszy ciąg na str. 3

ZE ŚWIATA

Trudne dni przeżywa marionetkowy reżim sajgoński. Fala demonstracji, jaka ogarnęła południe Wietnamu, a której głównymi ośrodkami są: Hue, Da Nang i sam Sajgon, nie wróży gen. Ky nic dobrego. Żądania demonstrantów — ustąpienia junty wojskowej, przeprowadzenia wyborów i utworzenia rządu cywilnego — stawiają w bardzo trudnej sytuacji również Waszyngton. Na razie utrzymuje on jeszcze poparcie dla Ky, który próbuje osiągnąć jakiś kompromis z przywódcami ruchu opozycyjnego, lecz czy nie zmieni frontu? Cofnięcie poparcia nie przyszłoby z pewnością łatwo, zbyt Johnson zaangażował się w Honolulu, jednak przykład Diema nie pozwala wykluczać i takiej możliwości.

Jedno wszakże jest pewne: wydarzenia w południowym Wietnamie bardzo, ale to bardzo komplikują sytuację Stanów Zjednoczonych. Francuski dziennik „Aurore" pisze na ten temat:

„Anarchia, która rozlewa się jak oliwa, sprawia, iż USA stają w obliczu ciężkiego problemu. Ogromna siła militarna USA nie może być oczywiście pokonana w terenie, ale poczynania Amerykanów mogłaby usprawiedliwić tylko wola legalnej władzy w Sajgonie. Jeśli zaś ta władza tak się rozpada, że już nie reprezentuje narodu, nie można będzie uzasadniać obecności Amerykanów".

Dziennik ten cytujemy zgłaszając zastrzeżenia do niektórych sformułowań komentarza, dlatego, że należy on do nielicznych we Francji popierających interwencję amerykańską w Wietnamie i niedawno przepowiadał jej pełne powodzenie.

Na demonstracje w południowym Wietnamie trzeba spojrzeć jeszcze pod innym kątem: obecnych kłopotów Stanów Zjednoczonych z atlantyckim sojuszem.

Dyplomaci zaprzyjaźnionych krajów właśnie niedawno żalili się w Waszyngtonie, że administracja Johnsona tak pochłonięta jest Wietnamem, że nie jest w stanie podejmować równolegle innych pilnych problemów międzynarodowych. Starali się nawet udowodnić, ile w rezultacie traci polityka amerykańska i atlantycka. Czy przy takiej komplikacji na południu Wietnamu nie wzmogą nalegań, by problem zacząć rozwiązywać? Czy nie pogłębi to izolacji amerykańskiej polityki?

Waszyngton ma z powodu Wietnamu wiele kłopotów: i w Azji, i w Europie, i na samym kontynencie amerykańskim.

Niedawno minęła piąta rocznica tzw. „Sojuszu dla postępu", powołanego dla krajów amerykańskich z myślą o stabilizacji rządów i instytucji demokratycznych oraz podniesienia stopy życiowej ludności. Kosztem 100 miliardów dolarów, częściowo uzyskanych w formie pomocy USA, częściowo wygospodarowanych przez same republiki, miano uzdrowić gospodarkę tych krajów i tym samym „uziemić" tendencje rewolucyjne, które za przykładem Kuby ciągle narastają.

Program ten obliczony był na 10 lat, i właśnie minął półmetek. Warto z tej okazji zauważyć, że żaden z celów nie został osiągnięty: ani polityczny, ani ekonomiczny, ani psychologiczny. Kraje łacinoamerykańskie zrozumiały, że „Sojusz" jest po prostu narzędziem penetracji monopoli północnoamerykańskich.

Fiasko „Sojuszu dla postępu" wykazała doroczna konferencja Międzyamerykańskiej Rady Ekonomiczno-Socjalnej, która obradowała w Buenos Aires.

Kraje Ameryki Łacińskiej wystąpiły tam z wnioskiem o zreformowanie „Sojuszu". Ich postulaty sprowadzały się do: zmiany wysoce niekorzystnych warunków kredytowych, jakie podyktowały Stany Zjednoczone, ustanowienia zasady pierwszeństwa zakupów w krajach regionu latynoamerykańskiego, a dopiero w następnej kolejności w USA oraz zmodyfikowania samej organizacji.

Delegat Stanów Zjednoczonych na wszystkie te wnioski miał gotową odpowiedź: nie. Nie omieszkał przy tym przypomnieć zebranym, że rząd USA „ponosi ogromne ofiary w obronie wolności całej zachodniej hemisfery, prowadząc wojnę w Wietnamie".

Korespondenci donoszą, że wywołało to fatalne nastroje w krajach Ameryki Łacińskiej i wzmogło niezadowolenie z wietnamskiej polityki ich północnego sojusznika. W niektórych z nich są podobno wręcz nastroje buntu przeciwko ustanowionej przez USA zasadzie płacenia formalnego haraczu na rzecz wojny wietnamskiej.

Tak więc misternie skonstruowane przez Waszyngton rusztowanie, na którym opierał on swoją politykę, z wszystkich stron zaczyna się załamywać.

Stwierdził to również XXIII Zjazd KPZR w swoim oświadczeniu o agresji amerykańskiej w Wietnamie. Czytamy tam m. in.:

„Coraz szersze warstwy międzynarodowej opinii publicznej włączają się aktywnie do kampanii popierającej słuszną sprawę narodu wietnamskiego. Mnożą się głosy protestu przeciwko agresywnej wojnie w Wietnamie również w samych Stanach Zjednoczonych. Moralno-polityczna izolacja agresorów staje się coraz bardziej oczywista".

Czy naprawdę nie widzą tego politycy waszyngtońscy?

W. SŁAWSKI

PS. Sytuacja w Wietnamie płd. nabrzmiewa z każdą godziną. Opozycja gen. Ky — z organizacjami buddyjskimi na czele utworzyła „Zjednoczony Komitet Walki". Być może, są to już ostatnie chwile reżimu Ky — dziewiątego w kolejności rządu sajgońskiego.

KRONIKA TYGODNIA

■ **Egipskie źródła prasowe donoszą o możliwości rychłego przewrotu rządowego w Gwinei. Gwinejskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wydało wszystkim obcym obywatelom, łącznie z personelem placówek zagranicznych, zakaz opuszczania stolicy kraju, Konakry, bez uprzedniego zezwolenia tego ministerstwa.**

Wiosenna orka w NRF

(„Vorwaerts")

■ Francja wypowiedziała wojnę zagranicznym beatnikom. Wraz z początkiem Wielkiego Tygodnia i turystycznego sezonu rząd nakazał policji granicznej niewpuszczanie na terytorium kraju osób obojga płci „prezentujących się niewłaściwym wyglądem i nie posiadających odpowiednich środków finansowych na czas planowanego pobytu". Agencja France Presse komentując powyższe zarządzenie stwierdza, iż jest ono wymierzone przeciwko długowłosym turystom pochodzącym głównie z krajów anglosaskich i północnych.

■ **„Historia jest wrogiem Stanów Zjednoczonych w Wietnamie" — pod takim tytułem dziennik „Washington Post" publikuje artykuł wybitnego publicysty Drew Pearsona na temat ostatnich wydarzeń w Wietnamie. „Podstawowe powody, dla których nie powinniśmy znajdować się w Wietnamie i dla których tak wiele ludzi ma tam do nas pretensje, sprowadzają się do trzech punktów: Wietnam doświadczył dwadzieścia długich lat wojny, z czego dwanaście lat w czasie obecności Amerykanów. Ma on dosyć wojny po czubek głowy; kraj ten ma dość obcokrajowców, a w szczególności białych; wdaliśmy się w interwencje w religijny zatarg między katolikami a buddystami, a za każdym razem, gdy ktoś miesza się w religijny spór, naraża się każdemu z uczestników".**

■ Dla zdobycia większej popularności wyborców przed ostatnimi wyborami władze municypalne angielskiego miasta Wolyerhampton zdecydowały się wyjść naprzeciw przesądnym obywatelom grodu; na wszystkich miejskich ulicach zniesiono numery domów z fatalną liczbą 13.

■ W czasie festiwalu czołowych zespołów jazzowych w Austrii audytorium zaszokował w pewnym momencie jeden z gitarzystów koncertującej orkiestry. Niespodziewanie zaczął on biegać bez sensu po scenie, wierzgać nogami i przeraźliwie wrzeszczeć zagłuszając swym krzykiem muzykę pozostałych członków zespołu. Zafascynowani słuchacze niedalecy byli przekonania, że oto są świadkami narodzin nowej gwiazdy big-beatu. Wkrótce okazało się, że gitarzysta ów w szczytowym punkcie numeru chwycił za niesprawny mikrofon i porażony został prądem elektrycznym.

■ **Francuski dziennik „Combat" pisze, iż nierealistyczna postawa Bonn odnośnie problemu granic niemieckich i zjednoczenia kraju i wynikające stąd zimnowojenne i antyodprężeniowe poczynania NRF rodzą w społeczeństwie zachodnioniemieckim „klimat rozczarowania, niecierpliwości, uczucie frustracji i niesprawiedliwości", które utrwalają się tam obecnie. Dziennik przypomina, iż pogłębiające się w ten sposób uczucie niesprawiedliwości i frustracji posłużyło za punkt oparcia dla hitleryzmu. W tym kontekście wg „Combat" należy rozpatrywać ostatnie sukcesy w wyborach samorządowych w Bawarii i Hamburgu skrajnie prawicowej, neonazistowskiej partii NPD.**

Większość ludzi posiada tak mało umiejętności w urządzeniu sobie życia, że nawet w czasie ferii zachowuje się jak niewolnicy na urlopach.

PAUL GOODMAN — krytyk

■ Agencja Reutera donosi z Delhi, iż według miarodajnych źródeł, rząd indyjski zwolni wkrótce większość spośród tysięcy aresztowanych i przetrzymywanych w więzieniach tzw. lewicowych komunistów. Większość uwięzionych — kontynuuje Reuter — w tym 60 członków parlamentu centralnego i parlamentów stanowych — aresztowana była z początkiem ubiegłego roku pod zarzutem przygotowywania rewolucji. Ich zwolnienie mogłoby być objawem złagodzenia ustaw wyjątkowych, wprowadzonych po starciach granicznych z Chinami w 1962 roku.

■ **Zachodnioniemiecki tygodnik socjaldemokratyczny „Vorwaerts" zwraca uwagę na poważne sukcesy gospodarcze odniesione przez NRD. Tygodnik pisze, iż NRD wysunęła się na czoło państw socjalistycznych, jeśli chodzi o poziom stopy życiowej. „Vorwaerts" opierając się na opinii ekspertów wschodnioniemieckich stwierdza, że sukces ten możliwy był dzięki nowemu ekonomicznemu systemowi planowania i zarządzania.**

■ W wywiadzie udzielonym dziennikowi „Al Ahram", znany filozof brytyjski Bertrand Russell wyraził przekonanie, że Johnson jest „najgorszym prezydentem w historii Stanów Zjednoczonych".

■ **Przywódca większości demokratycznej w senacie amerykańskim, senator Mansfield, ogłosił oświadczenie, w którym wzywa ZSRR do podjęcia inicjatywy na rzecz zwołania konferencji genewskiej w celu uregulowania konfliktu wietnamskiego.**

Najlepszym propagandystą nie jest ten, który najlepiej mówi, ale ten, który najlepiej potrafi słuchać.

ROGER GARAUDY

■ W południowej Hiszpanii znaleziono przedmiot pochodzący z któregoś z radzieckich statków kosmicznych. Kiedy przedstawiciele amerykańskich sił lotniczych zażądali, aby władze hiszpańskie zezwoliły im na zbadanie tego przedmiotu, Madryt odmówił, uzasadniając, że wymogi „międzynarodowej kurtuazji nakazują zwrócić przedmiot jego właścicielowi, Związkowi Radzieckiemu".

■ **„Żenminżipao": „W społeczeństwie socjalistycznym skoncentrowanym wyrazem nowych stosunków, są stosunki między funkcjonariuszami a masami. Na wszystkich szczeblach funkcjonariusze partii komunistycznej oraz funkcjonariusze państwowi pełnią służebną rolę wobec ludu, a nie rządzą nim. Winni oni pojawiać się wśród mas jako zwykli pracujący ludzie i nie mogą posiadać żadnych przywilejów. Aby wprowadzić te zasady całkowicie w życie, konieczną rzeczą jest wysunięcie na czoło polityki proletariackiej... W innym wypadku umożliwi się funkcjonariuszom wykorzystywanie pozycji w celu zdobycia przywilejów, co może w rezultacie doprowadzić do powstania uprzywilejowanej warstwy ze szkodą dla wspólnej i socjalistycznej własności całego narodu".**

■ Celem poparcia rasistowskiego reżimu Smitha w Rodezji, rząd Republiki Południowej Afryki próbuje użyć swych zasobów złota jako broni politycznej w walce z Wielką Brytanią. Będąc jednym z największych producentów złota na Zachodzie (74 proc.), Południowa Afryka grozi Londynowi, iż może powstrzymać się od sprzedaży tego kruszcu na londyńskim złotym rynku, kierując go do Zurychu.

Mistrz świata wszechwag Cassius Clay: — Ja się nie chcę bić, jestem tylko bokserem.

(New York Herald Tribune)

W SPRAWIE KONCERTÓW BEZ TRĄBEK

Pana Jerzego Lovella „Koncert na trąbkę" w dalszym ciągu robi karierę, przynajmniej na łamach prasy kulturalnej i literackiej. Nie jest to znowu taka wielka kariera, ale zawsze. Propozycja znanego reportażysty i publicysty, aby zwolenników big-beatu „prać po pyskach" zdaje się mieć tu i ówdzie poparcie. Pan W. W. z Bydgoszczy nazywa na łamach ostatniego numeru „Kultury" naszą młodzież ni mniej ni więcej tylko — małpami człekokształtnymi. Oznaczałoby to, że nasze żony rodzą w okresie atomowym już nie ludzi, lecz zwierzęta, z których my ludzie wiedziemy swój ród. Dotychczas uczono mnie, że to my zeskoczyliśmy z drzew, a małpy na drzewach pozostały. Teraz sytuacja się zmieniła. Małpy chodzą i grają na trąbkach. Jak je tego oduczyć, jak je zmusić, aby skoczyły z powrotem na drzewa? Sprawa niełatwa, gdyż człekokształtnych małp coraz więcej, a z lasami krucho.

„...sytuacja jest groźna — pisze pan W. W. — i uważam, że jak w każdej groźnej sytuacji, powinny być zastosowane nadzwyczajne środki, mające na celu zahamowanie dalszego zdziczenia, ogłupiania i kierowania energii rozpierającej nastolatków o idiotycznych, przeciwnych naturze ludzkiej kierunkach".

Prać po pysku? Czy ja wiem? Byłbym raczej za likwidacją trąbek. Odebrać młodzieży trąbki i koniec. Przecież to się da bardzo łatwo zrobić. Szoferom już dziś nie wolno trąbić w większych miastach. Kto trąbi, tego łapie milicja. Oczywiście, nie chodzi tu o starszych trąbiących ile wlezie z butelek, o tych wicemistrzów świata. Następnie należy zlikwidować odpowiednim dekretem produkcję trąbek, i równocześnie poniechać wszelkiego importu. Trąbki znikną z orkiestr, mało to innych instrumentów? Cymbałki, skrzypce, waltornie, ksylofony i organy powinny wystarczyć. Wyjątek mogliby stanowić wyłącznie trębacze, ale powiązani mocno z historią. I tak hejnał z Wieży Mariackiej dozwolony raz na dzień i na cztery strony świata, tak jak było, ale za każdorazowym akceptem autora „Koncertu na trąbkę", który — jak wiadomo — mieszka w Krakowie, ma więc po drodze. Inne hejnały za pozwoleniem jednodniowym miejscowej zwierzchności. Żadnych trąbek na jarmarkach i odpustach, zwijanie ust i rąk w trąbkę powinno być surowo zakazane, podobnie należy karać posiadaczy nosów, przypominających trąby. Rzecz prosta — ten zakaz nie może dotyczyć osób w wieku ogólnie szanowanym. Należy zlikwidować trąbki myśliwskie, wojskowe, a także wszystkie trąbki Eustachiusza. W dalszej kolejności powinniśmy zweryfikować nazwiska, mające coś wspólnego z trąbką. A więc Trąbowie, Trąbkowie, Trębiccy, Trębacze, Trąbaczewscy vel Trębaczewscy powinni pozmieniać nazwiska na coś bardziej spokojnego.

Po załatwieniu sprawy trąbek można przystąpić do akcji likwidowania bębnów, które przecież w nie mniejszym stopniu deprawują nam młodzież, zwłaszcza lekkie bebenki jazzowe. Zamiast werbli — skrzypce, nazwiska pozmieniać według wzoru podanego wyżej, zlikwidować produkcję i import, ustanowić trójki społeczne, aby pilnowały nam życia bezbębnowego, usunąć wszystkie bebenki w uszach. To się da zrobić za jednym zamachem, kiedy zabierzemy się do trąbek Eustachiusza. Na dzieci nie mówić — ty bębnie nieznośny. Kto z rodziców tak powie zostanie wysłany na koncert big-beatowy. Trzeba też będzie zmienić nazwę niektórych bębnów, niezbędnych w produkcji, zwłaszcza eksportowych, jak np. bębny garbarskie, gdyż likwidować ich nie można. Rzecz prosta, nie może być nawet mowy o puszczaniu w telewizji filmów w rodzaju „Południowe rytmy na Broadwayu", a przy tego rodzaju transmisjach jak mistrzostwa w jeździe figurowej na łyżwach musi nam zastąpić całą fonię melodyjny głos redaktora Rzeszota, zastępuje zresztą już dziś. Transmitowanie afrykańskich tam-tamów — rzecz prosta — nie może wchodzić w grę.

Po roku skutek murowany. Oczywiście pod warunkiem, że do akcji włączą się organizacje masowe w czynie społecznym.

Wierbaczarchyd

Klienta TO NIE OBCHODZI..

Dalszy ciąg ze str. 1

bawełnianych (84 mln m rocznie) jest największa w kraju, że jest to już teraz jedna z największych fabryk bawełnianych w w Europie, że w takiej Łodzi np. każdy czwarty metr towaru pochodzi właśnie od „Obrońców Pokoju".

Oprócz tego o sławę „Obrońców" zadbały dwie kobiety od lat tu pracujące: Henryka Golińska, która została posłem bieżącej kadencji i Irena Tarczyńska, która w imieniu całej Łodzi chrzciła statek „Łódź".

* * *

Sława jednak sławą, a pytanie: dlaczego kurczą się ładne chustki na głowę, nadal jest otwarte. Ale powiedzmy sobie szczerze, że kurczyć się będą jeszcze jakiś czas, aż do momentu zasadniczych zmian w technice i technologii wytwarzania. Nie zapominajmy bowiem, że jakość i piękno towaru rodzi się już w magazynie bawełny, czy może nawet jeszcze wcześniej, w chwili podejmowania decyzji przez ludzi odpowiedzialnych za sprowadzenie z zagranicy takiego czy innego surowca.

— Są okresy złych dostaw — mówili mi w fabryce — które powodują, że surowiec, który może nadawać się do jakichś innych asortymentów, do tej produkcji, która akurat idzie w fabryce, nie pasuje. Dobra bawełna jest długowłóknista, ale czasem przyjdzie i długa, której nie można uprząść, gdy przyjdzie krótsza i „uprzędliwa" to znowu jest za słaba albo też źle zachowuje się w koloryzacji na wykończalni. W magazynie mamy bawełny dosyć, ale często nie ma w nim włókna, które jest potrzebne do aktualnie idących mieszanek.

Inżynier od kontroli technicznej pociągnął temat dalej, znaleźliśmy się więc na naszej drodze do jakości gotowej tkaniny w przędzalni. Powiedział po prostu:

— Obecny system płacy przadek nie stwarza dostatecznych bodźców do pilnowania jakości przędzy. Te bodźce istnieją dopiero u przewijaczek, premiowanych za jakość, a przecież przewijaczki nic już w zasadzie dla dobra przędzy nie mogą zrobić. Oprócz tego paradoksu, usłyszeliśmy i o zgrzeblarkach.

— Maszyny muszą robić znacznie więcej z roku na rok, bo plany niepowstrzymanie rosną i w ten sposób eksploatuje się je od lat. Dają coraz więcej produkcji, ale jej jakość nie może być taka sama, jak w okresie, gdy nie musiały pracować bez wytchnienia.

* * *

W tej sprawie nie ma winnych. Inne, pilniejsze potrzeby inwestycyjne kraju hamowały w poszczególnych okresach istnienia kombinatu dopływ środków na nowe zgrzeblarki i na inne maszyny, na odnowienie przędzalni średnioprzędnej, czy też na unowocześnienie najbardziej zaniedbanego działu — wykończalni. Na tym tle wystąpił nowy paradoks. Przędzalnia cienka, która jest bardzo nowoczesna, wykonuje tylko minimalną część zadań produkcyjnych giganta, olbrzymia większość ich spoczywa na starych gruchotach z przędzalni średniej. Liczby: 20 proc. maszyn obraczkowych pracowało tu już w wieku XIX, 50 proc. pochodzi z pierwszego półwiecza naszego stulecia, a tylko 30 proc. maszyn weszło do produkcji w okresie po 1961 roku. Sytuacja pod tym względem zaraz po wojnie była więc jeszcze tragiczniejsza, w ostatnich latach bowiem coś przecież uczyniono dla fabryki i dla tych 12 tysięcy, aby im ułatwić pracę na przędzalniach i tkalniach, aby i wydajność mogła rosnąć i udział fabryki w krajowej produkcji branży bawełnianej. Ale czy ten powolny postęp zadowala młodych inżynierów i techników, młodych majstrów i kierowników zmianowych, którzy już nie żyją przeszłością przedwojenną kombinatu, nie czują dla fabryki żadnego sentymentu, a którzy naczytali się o nowoczesności i postępie technicznym i o tym, że w niektórych krajach park maszynowy w przemyśle włókienniczym wymienia się regularnie co kilka lat?

* * *

Czy to zresztą obchodzi zwykłego „konsumenta" bawełnianych tkanin, któremu koszula uszyta z towaru „Obrońców" po dwóch praniach „wstępuje się" o trzy numery? Marzy o tym, aby mu się nie „wstąpiła", ale przecież w tej sprawie jest bezsilny. Dziwna jednak rzecz — cienie tej bezsilności snuły się i w ustach naszych rozmówców.

— Przez dwa lata, ubiegły i bieżący, mieliśmy wymienić 80 tysięcy starych, już wytartych obraczek na przędzalni, bo tak było w zatwierdzonym planie remontów tego oddziału, ale wymieniliśmy tylko 20 tysięcy i na tym koniec, w tym roku zaś wymienimy zero, bo producent obraczek na Służewcu w Warszawie ma teraz robić co innego i przekazać obraczki do Kalisza. Kiedy jednak Kalisz zacznie nam je dostarczać, tego nikt nie wie.

Albo o wykończalni, która, jak wiadomo, jest kluczem do uzyskiwania wysokiej jakości towaru. Dobra wykończalnia potrafi nawet nadrobić straty jakości powstałe w oddziałach poprzedzających, ona decyduje o tym, czy tkanina chwyci czy nie chwyci na rynku. Na ten temat usłyszeliśmy:

— Bielnik nam się już rozlatuje, bo większość maszyn zaczęła tu pracować w latach 1880—91. Pocieszamy się, że ma być modernizacja wykończalni od przyszłego roku, ale i boimy się, żeby znów nie było z tym poślizgu.

Ciężkie życie ma ten lekki przemysł. Niektórzy kierownicy i dyrektorzy otrzaskali cie co prawda w walce i wieloletnim oczekiwaniu, raz po raz więc w rozmowie z nimi cienie mieszają się z nadzieją. Po słowach o tym, że „bielnik się rozlatuje" nastąpiły słowa nadziei: „uruchamiamy thermosol, który ułatwi nam barwienie mieszanek z włókien syntetycznych. Ucieszą się z tego powodu ci klienci, którzy będą chodzić w modnych wiatrówkach i płaszczach uszytych z naszych tkanin wykończonych przy pomocy thermosolu". „W farbiarni i drukarni pilnie jest potrzebna wymiana dużej części maszyn i urządzeń", ale — „wkrótce otrzymamy suszarki Artos, które są w czołówce światowej tego typu maszyn wykończalniczych".

Wiele słów jednak o dotkliwych brakach w technice giganta pozostało bez zrównoważenia ich słowami otuchy. Nie ma jeszcze w fabryce maszyn do drukowania tkanin o szerokości powyżej 122 cm, chociaż takie właśnie tkaniny idą już w całym świecie, bo żąda ich nowoczesny przemysł konfekcyjny, łamią się dostawy barwników i chemikaliów. Albo są one za małe jak na plan, albo nie te kolory i stąd kram. Nadal więc na porządku dziennym trzeba się odwoływać do pomocy sąsiedzkiej, a rozmowy telefoniczne dyrektorów i kierowników od „Obrońców" z dyrektorami i kierownikami z innych fabryk łódzkich wyglądają mniej więcej tak:

— Mam zieloną, daj niebieską!

— Ile za ile?

— Za 50 kilo zielonej daj chociaż 40 niebieskiej...

Co gorsza — po 20 latach pracy naszej chemii nie obowiązują jeszcze wytwórców barwników żadne standardy określające ich użytkowość. A gdy nie ma standardów, to i reklamować jakość barwników niesłychanie trudno.

Raptem przypomniała nam się pewna ważna narada przemysłowa sprzed lat 6 czy 8, na której ministerstwo zdecydowało się utworzyć specjalny magazyn interwencyjny chemikaliów potrzebnych we „włóknie". Magazyn miał pomóc fabrykom, ułatwić wykonywanie planów, uwolnić kierowników wykończalń od żebraniny wśród kolegów z innych fabryk, od pomocy sąsiedzkiej. Zapytaliśmy o ten magazyn-zbawcę.

— A jakże — magazyn jest, ale tak się zawsze składa, że tego co właśnie nam potrzebne, w magazynie nie ma...

* * *

Kretony i pościelówki, tkaniny koszulowe i żakardy, flanele, towary białe, drukowane i barwione, koce i drelichy — jest tego 150 asortymentów w ciągu roku, ale rozbicie ich na grupy i rodzaje tkanin, które mają się znaleźć w sklepach czy fabrykach odzieżowych decyduje się poza fabryką. Handel najpierw proponuje Zjednoczeniu pewne artykuły. Zjednoczenie daje wytyczne ogólne fabryce, która w oparciu o maszyny i możliwości ustala szczegóły planu produkcyjnego. Zjednoczenie to zatwierdza wysyłając do handlu odpowiednie dane. Ta wiedza o możliwościach fabryki rozchodzi się następnie do poszczególnych odbiorców rynkowych. Resztę załatwiają giełdy towarowe, określające przy pomocy umów co, kto, w którym kwartale dostanie z fabryki.

Dostanie? Kłopoty z zaopatrzeniem w odpowiednie surowce, z dostawami wspomnianych barwników i środków pomocniczych sprawiają, że już od wielu lat kontakty fabryka — handel przypominają grę w pokera. Bo fabryka — wbrew logice i zwyczajom światowym — najpierw towar sprzedaje a potem dopiero go produkuje. Fabryka spodziewa się np., że po rozdaniu kart otrzyma cztery asy czy kolor, a tymczasem dostaje każdą kartę z innej parafii. Jeśli do planu na dany kwartał pasują mieszanki, to okaże się, że do tych mieszanek nie nadeszły na czas barwniki, jeśli chemia akurat nie „nawali", to wyskoczy co innego.

— Dopiero w kwartale, gdy trzeba wykonywać konkretne zamówienia dla konkretnego odbiorcy krajowego zaczyna się polka z dostawcami i handlem. A tu rynek czeka na ten a nie inny towar, fabryka — na te a nie inne dostawy surowców i chemikaliów, załoga — na możność wywiązania się z planowych zadań.

* * *

Dotychczasowy system kontaktów producenta z odbiorcą nie potrafił też uporać się ze sprawą odrzutów poeksportowych. Wiadomo, że odrzuty były zawsze i zawsze będą, nie ma też kraju na świecie, nawet wśród najbardziej przodujących w produkcji przemysłowej, w którym tzw. wykrój eksportowy sięgałby 100 proc. W najidealniej zorganizowanej produkcji część towaru przeznaczonego pierwotnie na sprzedaż za granicę, po przesianiu przez gęste sito eksportowej kontroli zostaje na potrzeby krajowej konsumpcji.

Ten „wykrój" u „Obrońców" wynosi około 75 proc., co oznacza, że co czwarty metr tkaniny produkowanej na eksport, trzeba zaoferować klientom krajowym. Ale jak to zrobić?

Przy zawieraniu umów z handlem nie ma w fabryce takiego mądrego, który by mu powiedział, co w danym okresie kwartalnym zejdzie z eksportu jako odrzut na rynek wewnętrzny, bo w stosunku do klienta zagranicznego stosuje się, i słusznie, bardziej elastyczną taktykę wykonania zamówień, umożliwiając kupcom zagranicznym dokonywanie zmian w asortymencie w środku kwartału. Więc i te odrzuty spadają na fabrykę i handel jak objawienie.

Ale wyjście musi się przecież znaleźć. I handel będzie musiał bardziej elastycznie reagować na sytuację producenta i możliwości częstszego uzupełniania swych magazynów i fabryki — coraz bardziej zwiększać eksportowe wykroje. Po to, żeby cała sprawa przestała być problemem.

Klienta nic to wszystko jednak nie obchodzi. Klient chce kupić kilka metrów flaneli czy chustkę żakardową, bo ma akurat do wydania kilkadziesiąt złotych. Klient zresztą nie chce, zresztą nie potrafi zrozumieć tego wszystkiego z czym boryka się kierownik wykończalni czy kierownicy innych oddziałów u „Obrońców" ani tego, że „Boruta" czy „Wola Krzysztoporska" również mają własne trudności, którymi może uzasadnić swe grzechy wobec fabryki.

Ale tych klientów mamy w kraju kilkanaście milionów, więc i kłopoty „Obrońców" z jakością tkanin bawełnianych i kłopoty innych fabryk zaopatrujących nasze sklepy stają się odpowiednio wielkim problemem. Rozwiązać go zaś trzeba jak najszybciej, uwalniając jednocześnie ludzi z kierownictwowych zakładów od leku o to, aby i kolejne terminy technicznych zmian na lepsze nie wpadły czasem w dobrze nam znany poślizg.

* * *

Sprawy poruszone w naszym artykule, oczywiście nie obrazują całości zagadnienia, któremu na imię „jakość i estetyka towarów rynkowych przemysłu lekkiego". Niektóre momenty stanowiące o sytuacji w ZPB im. Obrońców Pokoju w Łodzi odnoszą się jednocześnie do sytuacji całego przemysłu bawełnianego w kraju.

FELIKS BĄBOL

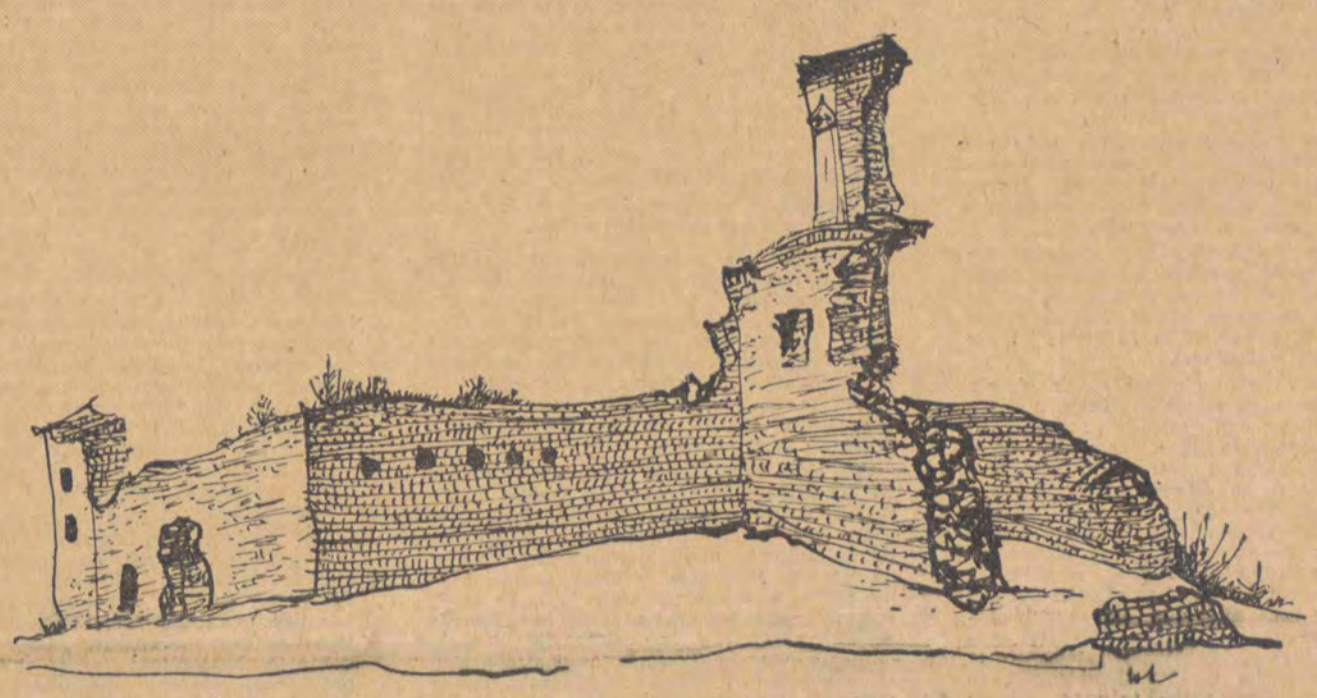

Szanowny Panie Redaktorze

Z zamku w Besiekierach pozostały tylko trudne do odcyfrowania szczątki murów z zadziwiającym kawałkiem wieży — pionowo sterczącą iglicą. Wąska ściana lada chwila się zawali, więc chyłkiem przemykamy pod nią: ostrożnie na palcach, aby nie skusić złego licha. Cały kompleks bardzo już zniszczonych murów ze stojącym szczątkiem wieży w jakiś sposób przypomina Radogoszcz. — Wokół ruin staw obrośnięty rzadko drzewami.

Zapiski archiwalne: zamek zbudowano w końcu XV w. Przebudowano w końcu XVI w., potem drugi raz w połowie XVII w. W XVIII w. obniżono go o jedno piętro; około wieku XIX popadł w zupełne opuszczenie. Obecnie kompletna ruina.

Obok ruin wioska. Z najbliższej chałupy wychodzi chłop; — przygląda się nam. Pytam: — panie, nie wie pan o jakich legendach, podaniach, opowiastkach, strachach — no wie pan — o takich gadkach o tym zamku?

Chłop przygląda mi się długo, mówi: — Nic takiego nie wiem, ludzie we wsi też nie wiedzą. Nawet mój ojciec zastał takie samo wszystko jak teraz, ale coby straszyło albo się zwidywało — to nie.

— Ale wiesz pan — z wyrzutem patrzy na mury — zaprawa tu taka mocna że nawet najlichszej cegiełki nie udrze.

WACŁAW KONDEK

CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI...

Dalszy ciąg ze str. 1

pracy, gdzie obywatel nie znajdując zrozumienia, a często nie uzyskując odpowiedzi na skargę złożoną do swojej dyrekcji, organizacji czy rady zakładowej, tym samym zmuszony jest zwracać się do instancji wyższej [2])".

Przyznaję, że wynotowawszy sobie starannie ten fragment chciałem pójść za pierwszym podszeptem dziennikarskiej intuicji i napisać: reportaż o utraconej szansie. Czy precyzyjniej — reportaż o nie wykorzystanej szansie. Ale nie lubię tematów samograjowych. Zdecydowałem więc pójść tropem krańcowo odmiennym. Dlatego też składałem wizyty w komitetach zakładowych i radach robotniczych dużych włókienniczych fabryk. Tam, gdzie się skargi honoruje, gdzie się, mówiąc zwrotem, który zrobił karierę w referatach, a powoli wchodzi do zwykłego, obiegowego języka, w oparciu o te sygnały pracowników przywraca prawidłowo ułożone stosunki międzyludzkie. Bo już nie chodzi nawet o to, że instytucja skarg i zażaleń jest ważnym ogniwem demokratyzacji i jedną z gwarancji praworządności, o czym wie każdy, kto choćby trochę liznął w szkole wiedzę o Polsce i świecie współczesnym, jak się ten przedmiot nazywał w moich uczniowskich latach. Chodzi raczej o to, jakich nieprawidłowości dotyczą skargi konkretnie i jak się wyrównuje ten rachunek krzywd.

Młoda kobieta, przewodnicząca rady zakładowej dużego, właśnie zreorganizowanego kombinatu wełnianego [3]) wyciąga gruby, oprawiony w karton brulion i stwierdza:

— Ten zeszyt, to pamiętnik.

Rozumiem doskonale, że wyrażając się w ten sposób, pragnie podkreślić swój osobisty stosunek do spraw, których rejestr zawarto na kartkach kajetu. Zna je zresztą doskonale, bo mówi je „z głowy" i nie posiłkuje się notatkami.

To właśnie w tych zakładach doszło niedawno do nieporozumień, żeby nie powiedzieć awantury, między robotnikiem i mistrzem-salowym. Robotnik złapał przełożonego za klapy i potrząsnął, a mistrz wziął odwet dając dyscyplinarne zwolnienie z pracy. Powiedzmy od razu, że robotnik został sprowokowany. Przydzielono go bowiem do innej maszyny, gdzie automatycznie osiągnął niższe zarobki, co można, oczywiście, usprawiedliwić, gdyby nie fakt, że nikt mu nie wytłumaczył, dlaczego go się tam kieruje. „Na moje pytanie, na jakiej podstawie ob. salowy zmienił mi stanowisko pracy," odpowiedział, że jeżeli mi się nie podoba to mogę iść do domu i zaczął przede mną wymachiwać rękami i doskakiwał do mnie". Powiedzmy też od razu, że finał całej sprawy był nieco nie po myśli mistrza-salowego. Przede wszystkim dyscyplinarne zwolnienie zamieniono robotnikowi na naganę. Ale wymiar kary, ważny zapewne dla zainteresowanego, jest ze społecznego punktu widzenia mniej istotny niż reakcja aktywu partyjnego i związkowego na to konkretne zdarzenie. Odbyto bowiem specjalną naradę z udziałem obydwu zainteresowanych i omówiono na przykładzie incydentu „kwestię skutków, jakie powodują nieprawidłowo ułożone stosunki międzyludzkie". Obaj przeciwnicy wybaczyli sobie wzajemnie, robotnik przeprosił mistrza. Ale uczestnicy narady stanęli na stanowisku, że przełożony także nie był bez winy. A nawet znaleziono formułę ogólniejszej natury: „ze strony mistrzów i salowych przejawia się za mało chęci do pracy wyjaśniającej z ludźmi [4])".

Ciężar tej pracy biorą na siebie w fabrykach na ogół społecznicy, aktyw partyjny i związkowy, autorzy „pamiętników" załatwiający tysiące interwencji z tysiąca i jednej nocy, od nieporozumień rodzinnych pracowników, godzenia mężów i żon, po przydziały mieszkań, podwyżkę zarobków, skierowanie na wczasy. Długi, bardzo długi i nigdy nie wyczerpany rejestr.

Jest rzeczą zrozumiałą, że petenta nie interesuje hierarchia ważności spraw, które załatwiają społecznicy. Dla petenta jego własna sprawa jest najważniejsza ze wszystkich i trzeba się z tym pogodzić. Więcej, trzeba to przekonanie ludzi szanować, jeżeli chce się, aby mieli zaufanie. Bo w tego typu pracy bez zaufania daleko się nie ujedzie.

Aktywistów nie dziwi więc, choćby tego typu nadesłana listownie prośba:

„Zwracam się z prośbą do tow. sekretarza o umożliwienie mi porozumienia się z pracownikiem tutejszych zakładów ob. X, w sprawie uregulowania długu pieniężnego. Nadmieniam, że w/w obywatel w czasie przeszkolenia wojskowego zaciągnął u mnie dług w wysokości 100 (sto) zł, obiecując zwrot zaraz po przybyciu do cywila. W chwili obecnej mijają już 3 miesiące, a..."

Cóż było robić. Tow. sekretarz odszukał Xa, odbył z nim rozmowę i X dług zwrócił. A było to w czasie, gdy towarzysze sekretarze i obywatel przewodniczący rady zakładowej mieli poważniejsze sprawy na głowie. Wpłynęła bowiem skarga grupy robotników, którzy twierdzili, że nowo wprowadzone urządzenia zabezpieczające do czółenek tkackich są delikatnie mówiąc, do kitu. Wcześniej robotnicy kontaktowali się z przedstawicielami administracji zakładów, ale tam dowiedzieli się, że urządzenia są dobre, i koniec.

Załatwienie tej sprawy nie było wcale takie proste. Bądź co bądź poddano w wątpliwość rozwiązania techniczne zaprojektowane przez poważne autorytety. Trzeba było przeciwstawić im równie naukowy autorytet. Postanowiono więc zlecić wyjaśnienie tej sprawy zakładowemu klubowi techniki i racjonalizacji. W międzyczasie zdarzył się wypadek: źle zabezpieczone czółenko uderzyło robotnika w głowę i poważnie zraniło. Mógł to być oczywiście fakt zupełnie odosobniony, czysty przypadek, ale mógł to być także dowód słuszności twierdzenia pracowników, że urządzenie zabezpieczające czółenka skonstruowane jest wadliwie. Wkrótce podobny wypadek zdarzył się po raz drugi. Ta seryjność obalała twierdzenie, że chodzi o zdarzenie wyjątkowe. W klubie techniki i racjonalizacji nie tylko ustalono, dlaczego urządzenie nie działa prawidłowo, ale zbudowano model zupełnie nowego, i co ważniejsze, sprawnego. Urządzenie to stopniowo znajduje zastosowanie we wszystkich fabrykach Łodzi i wszędzie uzyskuje pochwały.

Oto skala ważności skarg: prośba o zawstydzenie pracownika, który nie oddał długu koledze i interwencja w sprawie, gdzie chodzi o życie i całość ludzi. Jeśli skargi i zażalenia, gdy chodzi o ich ilość, wykazują tendencję malejącą, to niemała w tym zasługa aktywistów i społeczników. Organizacje partyjne i związkowe nie czekając bowiem na sygnały pracownicze wkraczają tam, gdzie sytuacja grozi lawiną przyszłych, uzasadnionych skarg i odwołań. Jak ta działalność interwencyjna i profilaktyczna wygląda w praktyce?

W radzie zakładowej pokazują mi jakieś tabele i wykresy, pełne cyfr, których sensu zrazu nie mogę pojąć. Tłumaczą mi więc: tak a tak kształtują się średnie zarobki w naszej branży, w fabrykach łódzkich i nie tylko łódzkich. Do niedawna płace w naszym zakładzie kształtowały się poniżej tych średnich. Z chwilą reorganizacji zakładów ludzie zaczęli zarabiać więcej, ale też obsługują więcej krosien. I proszę sobie wyobrazić, ktoś w dyrekcji doszedł do wniosku, że ludzie zarabiają za dużo. Mamy pierwsze sygnały, że tam tak właśnie niektórzy rozumują. Przygotowujemy więc materiały, z których niezbicie wynika, że nowe płace są po prostu prawidłowe. Przede wszystkim jednak wcale nie za wysokie. Średnie.

Nie wszędzie, oczywiście, aktywistom społecznym przychodzi interweniować w sprawach tak ważkich dla interesów załogi, jak tu opisana. Wszędzie jednak członkowie komisji skargowych podejmują na własne ryzyko działalność w sprawach, gdzie jeszcze nie ma zatargu, ale sytuacja grozi konfliktem. Jak to określił jeden z aktywistów: Komisja skarg musi się zająć wszystkimi sprawami ludzkimi.

Ale działalność podstawowa, to właśnie skargi i zażalenia. Jawne i anonimowe. W wypadku skargi anonimowej trudno o jednoznaczną kwalifikację moralną pobudek jej autora. Albo autorów. **Anonim jest uczciwym sposobem dochodzenia swych praw w tym jednym wypadku, gdy idzie o racje zaszczutego przez klikę, który praktycznie nie ma innego środka obrony.**

W czasie mego rekonesansu zapoznałem się z kilkoma anonimami. W zasadzie ani **jeden z nich nie zawierał tej usprawiedliwiającej przyczyny sprawczej, każdą z tych** spraw można było wyjaśnić w sposób zupełnie otwarty. Ale anonim, to na ogół jad, obrzucanie błotem i plwocinami, zemsta i odwet.

„Pokazywała również w dziale w wielkim zaufaniu koleżance zdjęcia szefa z dedykacjami świadczącymi o ich stosunku. Miesięczny dodatek do jej już wysokiej pensji wynosi średnio ca 1.500 zł — warto by szef kochał się w każdej z nas".

Anonim ten sporządzony przez pracowników księgowości, zawiera drobiazgowe wyliczenie wszystkich awansów oczernianej, wszystkich pokwitowanych przez nią sum z dokładnymi datami, wyliczenie wszystkich dni nieobecności w pracy, procentowe wyliczenie stosunku dni przepracowanych do opuszczonych itd. Pisała go zawiść. Jak się okazało, żaden z zarzutów nie był prawdziwy.

Anonim pozostaje zwykle poza świadomością oplutego w nim i oczernionego. Nie może służyć jako dowód, a jednak zarzuty sprawdzić mimo wszystko trzeba. Tylko jego autor wie na ogół, że komisja, która zjechała i kontroluje określony dział zakładów, zjawiła się tu na jego sygnał, i zaciera ręce. Z tym systemem, przypominającym mocno procesy czarownic, w niektórych zakładach pracy zerwano definitywnie. W ogromnym kombinacie bawełnianym powiedziano mi: — Skargę podpisaną załatwiamy zwykle po wysłuchaniu obu zainteresowanych stron. Anonim nam nieco życie komplikuje. Po zbadaniu sprawy robimy bowiem zebrania wszystkich oddziałowych organizacji partyjnych i na nich referujemy wynik dochodzeń, oraz całą otoczkę sprawy. Organizacji oddziałowych mamy kilka, zebrań trzeba więc robić kilka. Może to nazwie ktoś marnowaniem czasu, ale dzięki temu anonimy są u nas wyjątkowo rzadkim zjawiskiem. Ostatni był właściwie listem do redakcji „Głosu Robotniczego". Jego autor opisując podział funduszu zakładowego, pytał o zasady, na jakich się tego dokonuje oraz prosił o wyjaśnienie na łamach gazety, czy w konkretnym przypadku nie zaszła jakaś nieprawidłowość.

Nie, nieprawidłowości nie było. Choć oczywiście, tu i ówdzie mimo rzetelnej pracy aktywu partyjnego i związkowego nieprawidłowość może się zdarzyć na zasadzie zwykłego, ludzkiego przeoczenia. Sygnał alarmowy istnieje dopiero wtedy, gdy mimo odkrycia błędu, nikt nie chce go naprawić. Dotyczy to, jak już wiemy, małych zakładów pracy. Rzecz w tym, że w małym zakładzie, mogą być wielkie niezałatwione sprawy. I, że tych archipelagów spraw niezałatwionych nie wolno nam tolerować.

KONRAD FREJDLICH

[1]) W większości instytucji prowadzi się przedmiotową klasyfikację skarg.

[2]) Ocena pracy ref. listów i interwencji KŁ PZPR za r. 1965.

[3]) Ponieważ interesuje nas problem skarg, a nie ich topografia, nazwy zakładów, z których czerpałem materiały, pomijam.

[4]) Skargi cytuję w zasadzie bez zmiany pisowni i stylistyki, choć dokonuję skrótów niektórych zdań.

MARIA KORNATOWSKA

W RZYMSKIEJ FABRYCE SNÓW

Jutro zwiedzam Cinecittá — rzuciłam podczas kolacji z nonszalancją, której zdążyłam się już nauczyć w Italii. W oczach współbiesiadników zauważyłam z satysfakcją błysk zainteresowania i zazdrości. A jak się tam dostaniesz? — zapytała Simoneta, córka właścicielki pensjonatu, w którym mieszkałam. Wiedziałam doskonale, że przeniknięcie do rzymskiej fabryki snów nie było rzeczą łatwą. Tłumy żądnych sławy i bogactw dziewcząt szturmowały bramy tego rajskiego grodu. Nierzadko musiała interweniować policja. Dlatego wprowadzono surowe ograniczenia i obostrzenia. Och, załatwił mi to dyrektor Centro Sperimentale — odpowiedziałam zgodnie z prawdą i w pełnym poczuciu własnej ważności. Ostatecznie należała mi się jakaś drobna rekompensata za to, że nie posiadam nawet Fiata-600 i nie mogę bezpośrednio partycypować w owocach włoskiego cudu gospodarczego. Tym razem odniosłam całkowite zwycięstwo i umocniłam swoją chwiejną dotąd pozycję w gronie mieszkańców pensjonatu. Mimo ekspansji telewizji, magia kina nie straciła jeszcze nic ze swej potęgi i blask jej opromienił i moją skromną osobę.

Dumna zatem i pełna wiary i nadziei wsiadłam nazajutrz w autobus i pomknęłam w kierunku stolicy europejskiego kina. Cinecittá rozciąga się na peryferiach Rzymu wzdłuż szerokiej Via Tuscolana, biegnącej niemal równolegle do najpiękniejszej ulicy świata Via Appia Antica. Na Via Appia sąsiadują ze sobą katakumby, wille milionerów i gwiazd filmowych (S. Loren, G. Lollobrigidy itd.) oraz szczątki świetności starożytnego imperium. Ukryte kokieteryjnie wśród cyprysów i palm wabią przechodniów urokliwe i bardzo kosztowne trattorie — ulubione miejsca spotkań i posiłków gwiazd ekranu. Wieczorem Via Appia zapełnia się samochodami i tłumem czarnowłosych Cabirii, oczekujących swego Amedeo Nazzari. Wille gwiazd filmowych na Via Appia toną w ogrodach, otoczone szczelnymi ogrodzeniami. Cinecittá oddziela od świata zwykłych śmiertelników gruby mur, a wrót doń strzeże kilku ponuro i krzepko wyglądających cerberów. To najsłynniejsze po Hollywood miasteczko filmowe rozciąga się na dosyć znacznym obszarze.

Z biciem serca wchodzę do portierni. Towarzyszą mi dwaj Kolumbijczycy, studenci reżyserii z Centro Sperimentale. Dowiedzieli się, że w Cinecittá kręcą właśnie western i chcą koniecznie zobaczyć, jak to się robi. Western, jak wiadomo, stał się ostatnio specjalnością filmowej kuchni włoskiej. Portier został już uprzedzony o wizycie „polskiej dziennikarki" i uprzejmie przekazuje nas w ręce jakiegoś doktora. We Włoszech naród dzieli się na doktorów i commendatorów. Znaczenie obu tytułów jest dość mgliste, ale efekt na publiczności murowany. Na wypadek, gdyby doktor zapragnął wykorzystać swą wszechmoc i obecność Kolumbijczyków uznał za zbyteczną, umawiamy się, że ja nie znam kompletnie włoskiego języka, a oni pełnią funkcję moich tłumaczy. Trudność tkwi w tym, że jedyny wspólny język, jakim dysponujemy, to słodka mowa Dantego i Petrarki. W razie czego — oświadcza z determinacją jeden z Kolumbijczyków, Javier — będę mówił co mi ślina na język przyniesie. Włosi i tak kiepsko orientują się w językach tak egzotycznych, jak polski. Doktor wita nas uprzejmie i każe czekać na „przewodnika", Javier „tłumaczy". Ja przybieram głupkowaty wyraz twarzy, jak na szanującego się i nic nie rozumiejącego zagranicznika przystało. Wreszcie komedia kończy się happy endem. Zjawia się przewodnik i bez żadnych przeszkód wkraczamy na teren raju, czyli Cinecittá.

Muszę przyznać, że żywiłam w sercu cichą nadzieję ujrzenia licznych znakomitości, powiedzmy jeśli nie Liz Taylor, to chociaż Claudii Cardinale, Moniki Vitti, Mastroianniego lub Alberto Sordi. Oczyma duszy pieściłam już wizję przyszłości: ja, powiedzmy w szatni Grandki, mówię głośnym szeptem do przyjaciółki — wiesz, ta Cardinale to wcale nieciekawa. Kiedy ją widziałam ostatnio w Rzymie, to nawet nie była dobrze uczesana... lub coś w tym rodzaju. Z miejsca zaniepokoiłam się więc stosunkowo niewielką ilością zaparkowanych samochodów i ich skromnym wyglądem. Wokół było pusto i cicho. Coś mi tu nie gra — pomyślałam. Cinecittá przeżywa poważny kryzys — powiedział z melancholią nasz przewodnik. „Kleopatra" była ostatnim wielkim dziełem. Dlaczego? — zapytałam wnikliwie. Jedną z przyczyn kryzysu produkcyjnego włoskiej kinematografii był dosyć długo trwający brak ustawy regulującej jej ekonomiczne i prawne podstawy. Ustawa została niedawno uchwalona przez parlament, ale w praktyce nie widać jeszcze jej skutków. Z drugiej strony minęła moda na supergiganty mitologiczne i pseudohistoryczne. Robi się filmy „małe", a takie filmy nie liczą się w Cinecittá. Koszt realizacji filmu jest tu stosunkowo wysoki. Wielu reżyserów korzysta więc z usług drobnych, niezależnych wytwórni. A kto ma pieniądze kręci u De Laurentisa. Cinecittá oddano do użytku w roku 1937 — w piętnastym roku „panowania" Mussoliniego. Jest w zasadzie własnością państwa. Liczy 13 wielkich hal produkcyjnych, z tego największe jest studio nr 12. Ale urządzenia Cinecittá nie są już dziś najnowocześniejsze. De Laurentis zbudował na Via Pontina 3 nowe wspaniałe hale zdjęciowe zaopatrzone w najnowocześniejszy sprzęt i urządzenia. Studia De Laurentisa pracują pełną parą. Cinecittá zionie pustką. W jednej z hal Joseph Louis Mankiewicz, autor „Boscnogiej contessy" i „Wszystkiego o Ewie" kręci nową wersję „Volpone" z Charltonem Hestonem w roli głównej. Ale Mankiewicz nie życzy sobie obecności osób postronnych na planie. Idziemy więc w stronę słynnego miasteczka z Dzikiego Zachodu. Miasteczko rzeczywiście jak żywe. Wszystko jak u Johna Forda lub Antony Manna — poczta, fryzjer, szkoła, hotel, główna ulica, domki, no i saloon. Miasteczko zostało zbudowane raz na zawsze i służy do realizacji wielu westernów amerykańskich i włoskich. Ze zrozumiałą satysfakcją otwieramy drogie sercu każdego miłośnika kina saloonowe drzwi i wchodzimy do środka. Wita nas wdzięczny napis: „Niech żyje Francoise Hardy". Na prawo bar z baterią trunków wcale nowoczesnych, na lewo telewizor i nieco w głębi stary klawikord. Na tym malowniczym tle kręci się tłumek w przedziwnych maskaradowych strojach. Wzrok przyciąga zwłaszcza duża ilość piór na głowach czerwonoskórych. Hałas panuje nieopisany. Najgłośniej krzyczy jakiś hebanowłosy dżentelmen, ubrany po cywilnemu. Domyślamy się, że to sam reżyser, Hiszpan z pochodzenia, Merino. Jesteśmy świadkami realizacji jednej ze scen nowego dzieła kooprodukcji hiszpańsko-włoskiej, westernu muzycznego, czy też musicalu westernowego „O garść piosenek" (Per un pugno di canzoni). Rzecz dzieje się współcześnie. Reżyser przy pomocy znacznej ilo-

Rys. Ali Schmachütte

STANISŁAW RAPALSKI

Z CELI ŚMIERCI... NA WOLNOŚĆ

W Łodzi, na osiedlu im. Montwiłła Mireckiego, przy ul. Daniłowskiego nr 5 mieszka człowiek, na którym lata wyżłobiły jego burzliwe rewolucyjne życie — cichy bohater Władysław Kułakowski.

Gdy w roku 1905—1907 płomień rewolucji ogarnął imperium carskiej Rosji — Polska Partia Socjalistyczna tworzyła oddziały bojowe.

Do oddziałów tych w okręgu warszawskim należał wówczas dwudziestoletni Władysław Kułakowski. Dokonywane zamachy przez organizacje bojowa powodowały również ofiary w jej szeregach. Ci, którym z zamachu nie udało się zbiec, schwytani stanęli przed sądem wojennym, gdzie czekał ich niechybny wyrok śmierci przez powieszenie.

W 1906 roku sąd wojenny w Warszawie skazał dziesięciu na śmierć. Dziewięciu z nich należało do Polskiej Partii Socjalistycznej. Skazani odsiadywali więzienie na Pawiaku, oczekując na wykonanie wyroku, który miał się odbyć na stokach Cytadeli.

Partia postanowiła działać, aby uwolnić skazanych. Sprawny oddział techniki organizacji bojowej PPS dokonał szczegółowego wywiadu działalności administracji i dozoru Pawiaka, planu więzienia oraz jakie należy zdobyć blankiety, aby na podrobionych, podstępem wyprowadzić skazanych. Wszak ci, co mieli dokonać uwolnienia szli w paszczę siepaczy carskich, w środek murów więzienia. Należało przeto tak obmyśleć plan, aby bez ofiar udała się cała akcja. Gdyby jednak akcję wykryto, oddział był przygotowany stoczyć śmiertelną walkę. Należało obmyśleć trasę ucieczki karetki więziennej i miejsce jej zajazdu, przygotować paszporty, ubrania, pieniądze i schronienie dla ewentualnie uwolnionych.

Gdy zbliżał się termin egzekucji, oddział bojowy złożony z siedmiu osób dokonywał ćwiczenia, jak należy zachować się w czasie wykonywanej akcji, ponieważ zmuszeni byli wystąpić jako wierni słudzy cara w roli żandarmów.

Na czele oddziału stał rotmistrz żandarmerii major von Butger, którą to rolę pełnił Jur Gorzechowski, pracownik kolei nadwiślańskiej.

Gdy oddział miał już wymaszerować, zauważono w ostatnim momencie mała niedokładność, która mogłaby zwrócić uwagę straży więziennej. Oto jeden z przebranych „żandarmów" miał żółty pasek, podczas gdy żandarmi przepisowo nosili naramienny pasek czarny. Cóż było robić? — Czarna pasta do obuwia zasmarowano żółty pasek i w ten sposób oddział był umundurowany według przepisów.

Dnia 24 kwietnia 1906 roku o godz. dwunastej w nocy zajechało pare dorożek z żandarmeria przed gmach więzienia przy ulicy Pawiej. Raptowne targnięcie dzwonka u furtki wejściowej postawiło wartownika na równe nogi. Widząc rotmistrza żandarmów, wartownik zasalutował. Sprawdzając przez okienko podana przepustkę, został strofowany przez rotmistrza za opieszałe sprawowanie służby. Gdy furtę otwarto, w szyku wojskowym wkroczył oddział na teren podwórza.

Do kancelarii budynku więziennego udał się „rotmistrz" i przedstawił dyżurującemu zastępcy naczelnika więzienia dokumenty, na podstawie których zabierał dziesięciu więźniów wyszczególnionych w liście, celem przewiezienia ich do Cytadeli. Dyżur pełnił Polak z pochodzenia, Busiatowicz. Wizyta w nocy oddziału żandarmerii i przewóz więźniów do Cytadeli, dla dyżurującego naczelnika więzienia było jasne, iż skazanych czeka egzekucja.

Rotmistrz energicznym głosem zwrócił uwagę dyżurującemu, aby wydał zarządzenie potrzebne do przygotowania więźniów i karetki do wyjazdu. Strapiony naczelnik zapewniał, że niezwłocznie wyda potrzebne zarządzenie i w tym celu wyszedł z kancelarii. Na to tylko czekał pseudo-rotmistrz żandarmerii. Niezwłocznie przeciął połączenie telefoniczne w miejscu niewidocznym, po czym energicznym krokiem przechadzał się po pokoju.

W tym czasie oddział „żandarmów" usiadłszy na stopniach, wiodących do więzienia, udawał obojętnych, niektórzy podparli głowę, udając że drzemią, lecz pilnie nasłuchiwali, co się dzieje wewnątrz więzienia. Wartownicy przechadzali się wokół więzienia, nadrabiając miną swą gorliwość służbową wobec takiej władzy jak żandarmeria. Woźnica pospiesznie zaprzągł parę dziarskich koni do karetki więziennej.

Na korytarzu więzienia już ustawiono wyprowadzonych więźniów. Gdy „rotmistrz" żandarmerii tow. Jur Gorzechowski sprawdzał nazwiska skazańców, jeden z więźniów jakby przeczuł ich wyswobodzenie. Wesołym wzrokiem zaczął wpatrywać się w rotmistrza, gdy ten, aby odwrócić jego uwagę, silnym pchnięciem polecił stanąć równo w szeregu.

Rotmistrz major von Butger, kwitując odbiór więźniów, nie podpisując się nigdy podobnym nazwiskiem i tytułem, potknął się piórem przy podpisywaniu — zaklął siarczyście na nieporządki i zepsute pióro, które ze złością rzucił na biurko.

Przy wyprowadzaniu więźniów do karetki na komendę wachmistrza żandarmi obnażyli szable, przepuszczając szpalerem do wnętrza omnibusu. Jeden z więźniów, Stefan Judycki, w innych okolicznościach usiłował uciec: wiedzieli o tym towarzysze, toteż, gdy który szedł niemrawo i jakby lękliwie oglądał się, wachmistrz chwytał go za kołnierz i silnym pchnięciem wrzucał do karetki dodając: „ach ty swołocz, może myślisz uciekać"! Należało wszystkie pozory zachować, aby zmylić czujność władz więziennych.

Naczelnik więzienia proponował dodanie eskorty, lecz major podziękował, oświadczając, iż liczy na swoich zuchów.

Do karetki więziennej wsiadło trzech żandarmów, dwóch usiadło na tylnych siedzeniach przy drzwiach, jeden przy woźnicy. Gdy omnibus więzienny wyjechał za bramę, wyjawiono działanie partii. Radość skazańców była wielka, lecz na entuzjazm nie było czasu. Rozdano każdemu broń aby w razie pościgu była większa obrona.

Woźnica należał do służby więziennej, przeto trzeba było zrobić z nim jakiś porządek. Kiedy dojeżdżano do ulicy Zakroczymskiej, przez którą wiodła droga do Cytadeli — nagle z tylnych siedzeń krzyknięto: „stój! koło!" Woźnica zatrzymał konie, a żandarmi zaczęli wymyślać woźnicy, że takim zepsutym wozem jedzie. Gdy zdumiony woźnica zapytał, co się zepsuło, wskazano mu tylne koła, a gdy ten nachylił się, aby koło obejrzeć został schwytany i wrzucony do środka wozu. Nakazano mu milczeć jeżeli chce być żywym. Końmi powoził „żandarm", ale karetka pędziła w innym kierunku aniżeli do Cytadeli, w stronę Woli do ogrodu Hosera.

Na pustym opuszczonym placu towarzysze oczekiwali z niecierpliwością, mieli tutaj przygotowaną garderobę dla wszystkich dowody osobiste i pieniądze dla uwolnionych, których na razie dobrze ukryto a później wywieziono za granicę.

Więzienny omnibus z końmi pozostał na pustym placu, do którego wrzucono ubranie żandarmów dla rządu carskiego na pamiątkę i związanego z zakneblowanymi ustami woźnicę.

Nad ranem, gdy Warszawa obudziła się i liczni przechodnie szli do pracy — czytali na murach stolicy zawiadomienie Polskiej Partii Socjalistycznej o bezkrwawym wykradzeniu z Pawiaka dziesięciu więźniów skazanych na śmierć.

Wśród więźniów wykradzionych z Pawiaka był tow. Władysław Kułakowski. Wywieziony za granicę do Krakowa, tam po krótkim odpoczynku zgłosił się sam, by przedostać się do Warszawy i ponownie brać czynny udział w akcji bojowej. Tow. Kułakowski po uwolnieniu go z Pawiaka nadal brał czynny udział w jedenastu wystąpieniach oddziałów bojowych: w zamachu na Woli, we Włochach, na naczelnika powiatu w Łęczycy, w Zduńskiej Woli, w Zagłębiu Dąbrowskim i w Warszawie. Ponownie schwytany w 1908 r. odsiaduje więzienie śledcze pod przybranym nazwiskiem Jana Cylińskiego. Z braku dowodów w akcji terrorystycznej zostaje skazany na cztery lata ciężkich robót (na katorgę) i bezterminowe zesłanie na Syberię.

Po odbyciu kary więzienia i zesłania go na Sybir po pewnym czasie odkryto mu nową sprawę wskutek czego przetransportowany zostaje do Warszawy. Jeden z kryminalistów zadenuncjował rzekomego Cylińskiego, wyjawiając jego prawdziwe nazwisko oraz ucieczkę z Pawiaka.

Toczy się zawiłe śledztwo, początkowo na terenie Warszawy, później w więzieniu w Orle.

Tow. Kułakowski stanowczo wypierał się swego nazwiska. Liczne konfrontacje, nawet z ojcem, nie poznały w nim Kułakowskiego, jedynie zawodowy opryszek w swym donosicielstwie twierdził, iż Cyliński to Kułakowski.

Wybuch rewolucji w Rosji przerwał to nie kończące się śledztwo i uwolnił go z więzienia. Dodatkowo, po wyroku skazującym go na śmierć tow. Kułakowski odsiedział ponownie blisko 9 lat więzienia.

Wspomina te lata jako górne i chmurne swej rewolucyjnej działalności, jako echa tak dalekiej lecz chlubnej przeszłości.

Z wymienionej siedemnastki uczestników akcji wykradzenia więźniów z Pawiaka pozostał tylko on jeden.

Rząd Rzeczypospolitej Ludowej wyznaczył tow. Kułakowskiemu emeryturę polityczną, aby po burzliwej rewolucyjnej przeszłości starcze lata przeżył w należytym spokoju.

Boticcelli, ilustracja do „Boskiej Komedii"

ści okrzyków i gestów przekazuje swoją wizję artystyczną aktorom. Obok nas siedzi z nogami na stole sam szeryf. Niestety, nie jest to ani James Stewart, ani John Wayne. Wymykamy się cichutko z saloonu i idziemy szlakiem dawnej świetności Cinecittá. Oto szczątki słynnej Via Veneto z „Dolce vita". Deszcz i wiatr zniszczyły lekką i barwną konstrukcję. Papierowe kwiaty są brudne i brzydkie. Zakątek zbytku i rozkoszy wygląda nader żałośnie. Sic transit gloria mundi... Nieco dalej ślady złotego blasku wśród śmieci. Tu kręcono wyścigi kwadryg z „Ben Hura". Znów mijamy jakąś dziwną konstrukcję. To basen z „Giulietty i duchów" — wyjaśnia przewodnik. Przed nami malownicze białe domki, kręte uliczki, małe placyki, romantyczne balkony i tajemniczo wyglądające bramy. To „miasteczko portugalskie". Tu kręci się filmy realistyczne i kostiumowe. Miasteczko może służyć jako tło włoskie, hiszpańskie, portugalskie, greckie, południowoamerykańskie itd. Jest rzeczywiście urocze i romantyczne. I smutne w swoim opuszczeniu.

Idziemy dalej. A tu niedawno De Sica robił swój film „Polowanie na lisy" z Peter Sellersem w roli głównej. Widzę pół domu — pewnie więzienie — bo dużo krat w oknach i solidnie wyglądające bramy. Za więzieniem stoją działa, ale to już z zupełnie innego filmu. Wchodzimy do wnętrza budynków. Trzeba przyznać, że hale zdjęciowe wyglądają imponująco. Zapadniowe podłogi, specjalne okładziny ścian i sufitów. Mnóstwo „mostów" dla reflektorów. I znów fragmenty dekoracji. We Włoszech wykorzystuje się wielokrotnie te same dekoracje. Cinecittá zaopatrzona jest również w specjalne studio do zdjęć podwodnych, od kilku lat zresztą nieeksploatowane. Kręcimy się wśród pustych sal i resztek dekoracji. A gdzie są gwiazdy? — zapytuję nieśmiało. Przewodnik wskazuje na garderoby gwiazd, niestety, puste. Tam, pokazuje w oddali mały domek — przebywała w czasie zdjęć do „Kleopatry" Liz Taylor. A tu było stałe miejsce lądowania prywatnego helikoptera Franka Sinatry, który również miał swój własny domek. Patrzymy z szacunkiem na te „święte miejsca". Zdaje się, że zaraz będzie burza — zauważa ponuro jeden z moich „tłumaczy". Patrzę w niebo. Rzeczywiście nad Cinecittá gromadzą się czarne chmury. Z uporem jednak wędrujemy pustymi uliczkami oglądając świadectwa dawnej chwały. — Jakieś wspaniałe torty z papier-mache, dekoracje z „Lamparta" itd.

Cinecittá zatrudnia 300 stałych pracowników. W miarę potrzeby angażuje się sezonowych. Czas realizacji filmów trwa od 2 tygodni do 2—3 miesięcy. Średni koszt produkcji „niewielkiego" filmu wynosi około 500 milionów lirów. Na wiosnę może się poprawi — mówi przewodnik. W kwietniu, w maju powinna ruszyć produkcja. Może przyjadą Amerykanie. W tej sytuacji Amerykanie stanowią zawsze deskę ratunku. Z drugiej strony inwazja amerykańskiego kapitału pogrąża artystycznie film włoski. Trzeba powiedzieć, że wszystkie tzw. ambitne dzieła, młodych, niezależnych twórców powstają poza Cinecittá. Na ambicje i pieniądze stać bowiem tylko nielicznych. Zresztą los Cinecittá jest niepewny. Państwo nie kwapi się z inwestycjami i modernizacją urządzeń. A tereny przy Via Tuscolana z dnia na dzień zyskują na wartości. Mówią wtajemniczeni, że plan zabudowy i rozbudowy Rzymu przewiduje likwidację miasteczka filmowego. Ktoś może na tym nieźle zarobić A De Laurentis pozostanie jedynym wielkim monopolistą w tej dziedzinie, bo jest rzeczą nader wątpliwą, by państwo włoskie chciało dziś budować nowe miasteczko filmowe.

Pierwsze krople deszczu przywołują nas do porządku, żegnamy pośpiesznie przewodnika. Mija nas wytworna limuzyna. Ciekawie zerkam do środka. Siedzący za kierownicą pan nie jest z całą pewnością Frankiem Sinatrą, ani nie przypomina żadnej ze znanych gwiazd, ale uśmiecha się uprzejmie i zaprasza nas do samochodu. Chętnie korzystamy, bo leje jak z cebra. I tak z fasonem opuszczamy przybytek X Muzy.

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Z uwagą przeczytałem zamieszczony w nr 12 (374) „Odgłosów" artykuł Konrada Frejdlicha „Różnie idąc" — o sytuacji w środowisku młodych poetów łódzkich.

Nie wdając się w ocenę tez samego artykułu, który, moim zdaniem, może stanowić punkt wyjścia szerokiej, ciekawej i pożytecznej dyskusji o łódzkim zapleczu literackim w ogóle, muszę, niestety, stwierdzić, że do końcowej części artykułu zakradły się nieścisłości i nieporozumienia, wynikające z nieznajomości realiów pracy Wydawnictwa Łódzkiego, a także braku pełniejszego rozeznania jego zadań i hierarchii tych zadań.

Z tych względów uprzejmie proszę o umieszczenie niniejszej informacji:

1. W naszym Wydawnictwie nie obowiązuje żadna reguła, z której wynikałoby, że młody poeta musi czekać pięć lat na umieszczenie kolejnego tomiku w zbiorowej edycji „Biblioteki Poetów".

2. Przerwy w kontynuowaniu tej serii jak i przewlekanie się druku niektórych „szkatułek" wynikają z trudności finansowych Wydawnictwa, gdyż edycje tego typu (jak wszelkie zresztą poetyckie) są, co nie powinno być dla autora artykułu zaskoczeniem, wybitnie deficytowe, zaś Wydawnictwo nasze wypełnia wzięty na siebie, dość chyba ambitnie, obowiązek bardzo szerokiego mecenatu w tym zakresie bez żadnej pomocy finansowej z zewnątrz: od władz miejskich czy wojewódzkich, organizacji czy regionalnych towarzystw kulturalnych, które w wielu innych województwach finansują tego typu inicjatywy wydawnicze czy partycypują w nich choćby częściowo.

Sytuacja Wydawnictwa jest w tym wypadku tym trudniejsza, że mamy do czynienia (co samo w sobie jest faktem bardzo pozytywnym i cieszącym) z niewspółmiernie dużą w stosunku do naszych możliwości finansowo-edytorskich ilością propozycji poetyckich.

3. W tym świetle wydanie w odstępie trzech lat w „szkatułkach" Biblioteki Poetów" tomików Jana Onopy nie jest żadnym wyjątkiem. Przypominam przy okazji, że w stosunkowo niewielkim odstępie czasu wydaliśmy ongiś również w ramach „Biblioteki Poetów" dwa tomiki Ewy Dąbrowskiej, Romana Łobody, Jerzego Wilmańskiego, Włodzimierza Piotrowskiego.

4. Wolno nam różnić się z Konradem Frejdlichem w ocenie walorów artystycznych i ideowych wierszy Jana Onopy — nam, i naszym wewnętrznym recenzentom — wybitnym krytykom poetyckim spoza Wydawnictwa. Nie przypisujemy sobie absolutnie atrybutu nieomylności i wdzięczni bylibyśmy za każdą rzeczową krytykę, oceniającą zarówno walory literackie, społeczne jak i edytorskie naszych książek. Nie bardzo jednak budują nas zarzuty typu, dlaczego takiemu to a takiemu z rówieśników Frejdlicha wydaliśmy tomik. Podobnie jak i niezbyt przekonują nas argumenty, że należy „Iksowi" jak najszybciej wydać następny tomik dlatego, żeby miał on podstawę ubiegania się o legitymację Związku Literatów. Naszym skromnym zdaniem zadania oficyn wydawniczych są... nieco szersze.

5. Nie ma w naszym Wydawnictwie jakiejś autonomicznej Redakcji Poetyckiej. Istnieje natomiast Redakcja Literatury Pięknej, której redaktorzy zajmują się w ramach realizacji planów wydawniczych również i redagowaniem tomów poezji.

Pragnę jeszcze raz podkreślić, że Wydawnictwo nasze mimo trudnych warunków finansowych, nie korzystając przy tym z żadnych dotacji, rozwija znacznie żywszą działalność na polu wydawania poezji (w tym utworów poetów młodych i bardzo młodych) od innych, daleko większych i zasobniejszych oficyn wydawniczych. Naturalnie proporcjonalnie do naszych limitowanych możliwości.

Szkoda, że Konrad Frejdlich, który właśnie debiutował u nas jako młody poeta, a potem tęgi prozaik — a więc zna nieźle drogę do naszego Wydawnictwa — nie zechciał zasięgnąć, przed napisaniem swego cennego w warstwie problemowej artykułu, informacji u źródła. Zwłaszcza, że nie jest to pierwsza nieścisłość w jego wypowiedziach i propozycjach publicystycznych kierowanych pod adresem Redakcji Literatury Pięknej naszego Wydawnictwa. I tak swego czasu irytował się bowiem na nas, że nie zajmujemy się spuścizną poetycką po Witoldzie Wandurskim, nie zadawszy sobie trudu sprawdzenia u nas przedtem, czy tak jest w istocie (przekonałby się wtedy, że utwory Wandurskiego i książkę o Wandurskim przygotowuje właśnie dla nas do druku dr Helena Karwacka). Podobnie niesłusznie wytykał nam niezajmowanie się twórczością zasłużonego poety i prozaika, Antoniego Kasprowicza — pisarza właśnie często przez nas wydawanego (Ostatnio w druku jest jego nowy zbiór opowiadań i w końcowej fazie opracowania redakcyjnego jego nowy zbiór wierszy).

Z głębokim poważaniem

dyrektor
mgr A. POSTOŁOW

WANDA KARCZEWSKA

POSZUKIWANIE W DZIELNICY MILWAUKEE*)

Posłuchaj więc, tylko uważnie. „Dojechałem wtedy tu, stanąłem na Division, potem — idę, patrzę, polskie napisy nad sklepami. Pytam przechodnia: — Gdzie tu Milwaukee? — Odpowiada: — Przecież pan stoisz na Milwaukee. — Przemierzyłem tę ulicę tam i z powrotem. Zajrzałem do książki telefonicznej, żadnego Semenka nie było. Poszedłem jedną z tych rozchodzących się gwiaździście ulic, widzę szyld nad knajpą: „Czar Polesia". Zapuszczam się w drugą ulicę, idzie dwóch pijanych. I już jestem trochę jak u siebie. Wreszcie zobaczyłem polskie książki na wystawie. Coś mnie tknęło: tutaj wstąp. Wszedłem do środka, pusto, tylko taki jeden staro-młody, o siwych, a może o jasnych włosach i o czerwonej, tęgiej twarzy, stoi w głębi za ladą, oparty rękami o jej brzeg i tak jakoś patrzy, nic nie widząc. Chodzę sobie, czytam tytuły, a myślę, jak tu znaleźć Semenka? Zapytać wprost siwoczerwieńca, który łypie na mnie okiem spod brwi, czy nie ściągam czego z półek. Nie mogę w końcu wytrzymać i z miejsca wypalam: — Nie zna pan tutaj niejakiego Semenka? Księgarz patrzy na mnie tak, ja mnie wcale nie chciał widzieć i mówi, zanim jeszcze wytłumaczyłem, kto zacz ten Semenko: — Nie, panie, ja nie znam żadnego Semenka. — I nic więcej, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że żadnym takim, którzy tu przychodzą z głupimi pytaniami, on nie ma nic do powiedzenia; jego nie obchodzą Semenki, Hanse czy Johny, on ma byznes i kropka. Już wiedziałem: choćby znał Semenka, też by mi nie powiedział, bo a nuż wyniknie dla niego z tej przyczyny coś niemiłego. Ostrożniś. Miałem już wyjść, a nie bardzo mi się chciało; na dworze upał, marynarka przylepia się do koszuli, koszula do skóry, skóra do kości, a tu chłodek, więc sobie jeszcze postałem w progu księgarni, nabierałem w siebie chłodu na zapas i wtedy wszedł jakiś starszy, chudy gość z nie ogolonym szczeciniastym zarostem, w wytartej jesionce, choć to upał był, w samej koszuli pod spodem, widać marynarka mu się zdarła, w wyszarzałym kapelusiku nasadzonym z fasonem na bakier i podrygując powiedział falsetem do tego siwoczerwonego bossa: — Szefie, myjemy dziś okienka? — A ten zza lady: — Przecież myliśmy dopiero co, panie profesorze. — A tamten: — E, z pół roku u pana nie byłem. Niech pan zobaczy, jakie szybki brudne, żadnego tytułu na książce nie można przeczytać. Grunt to czystość, czystość to zdrowie, żeby nie czystość, to bym obozu nie przeżył. Inni się nie myli i na tyfusik nóżki wyciągnęli, a ja wychodki skrobałem i rączki myłem, na rampe żydowskie bety chodziłem wyładowywać i rączki myłem, do krankenhausu do zakaźnych posyłali, a ja rączki myłem. Chleb za kawałek mydła sprzedałem i żyję. Tylko to człowieka trzyma. Czystość i praca, Arbeit macht frei. No jak? Myjemy? Nie? To może ma pan jakie gazetki do sprzedania? — Wtedy księgarz: — Przecież dałem panu gazety wczoraj, sprzedał pan już wszystkie? — A ten człowieczek: — Iii, takie gazety. Żeby pan tak coś z kraju miał, wesolutkiego, piosenki. O takie.

Podbiegł do lady trzy, cztery kroczki, jak wodewilista wybiega z kulis pod rampę sceny; gościk, ukłonik, jedna nóżka wysunięta do przodu, druga do tyłu, rączki uniesione do góry, paluszki rozcapierzone i: — Szanowni państwo, światowej sławy artysta polski odśpiewa państwu teraz wiązankę przebojów starej Warszawy. — Tupnął pare razy do taktu i pociągnął schrypniętym falsetem:

Siedziała pod cyprysem,
bawiła się z tygrysem,
a potem miała syna,
Titina, ach, Titina,
Bum, cyk, cyk, cyk.

— Przestań pan — powiedział księgarz, a ten człowiek: — Albo to, przebojowy szlagier pana Olszy, Morskie Oko, Qui pro Quo und so weiter...

Chichotał, patrzył na widzów: na mnie, na księgarza, bumcykował nóżką do taktu. — Przestań pan — powtórzył księgarz — klientów mi pan wystrasza. — Tamten popatrzył na mnie, spochmurniał, zamruczał: — Klienci! Nie takim klientom w obozie śpiewałem i wszyscy zawsze dobrze się bawili, tylko ci tu...

Wcisnął ręce do kieszeni, skurczył się i wyszedł. Zapytałem: — Kto to? — Księgarz: — Nie widział go pan jeszcze, nie zna go pan? Wszyscy go tu znają.

Potem mi ktoś mówił, nie, nie ten księgarz, że to profesor Nichtscheisen. To z kacetu przezwisko. Podobno raz przystawił mu gestapowiec lufę do piersi i on krzyknął zamiast „nicht schiessen" — „nicht scheissen". Gestapowiec się roześmiał, poklepał go po ramieniu za ten dowcipny kalambur w obliczu śmierci. I — puścił go. Widocznie potem opowiedział ten kawał innym, wszyscy pomału zaczęli na niego wołać „profesor Nichtscheissen". I tak już zostało.

Księgarz wtedy powiedział tylko: — Podobno to profesor języka polskiego. Inni mówią — bywalec czy artysta teatrów warszawskich.

I księgarz zamilkł. Patrzył w dół, potem podniósł na sekundę oczy i dodał: — Powinno się go do Polski wysłać. — Do Polski? — zapytałem. — Dlaczego? — A tamten: — A kto się nim tu zajmie? — To były jego ostatnie słowa, potem zamilkł już na dobre, jakby i tak za wiele powiedział. Milczek jakiś. Albo ostrożniś.

Wyszedłem za profesorem. Mamrotał coś do siebie, chichotał znowu, gestykulował, podrygiwał wesolutko jedną nóżką. Wzrok mój padł na jakąś witrynę, zobaczyłem się w szybie, spostrzegłem, że moje usta poruszają się, że jestem tak samo nie ogolony jak on. Wtedy po raz pierwszy pożałowałem, żeśmy wyjechali z Argentyny, tam się już trochę weszło między ludzi, tutaj, w Chicago — byłem jak na pustyni.

Zobaczyłem, że stoję przed sklepem z pamiątkami polskimi, takimi, wiesz, korale z bursztynu, fregaty, zakopiańskie kapelusze, ciupagi, pasiak łowicki; widocznie to mnie zatrzymało. Nacisnąłem klamkę, nie udawałem nawet, że chcę coś kupić, tak mi się do odnalezienia Semenka spieszyło. Zapytałem sprzedawczynię, młoda była, ładna, blondynka, rozmawiała z jakąś drugą w kapeluszu, klientką albo przyjaciółką: — Nie wie pani, gdzie tu ma sklep pan Se... — A ona, nie słuchając i nie patrząc na mnie, tylko odchylając lekko głowę w stronę niewysokiego przepierzenia, za którym widać było kawałek okna w tylnej ścianie sklepu, woła: — Tadziu, do ciebie.

Ten ktoś odchrzaknął i: — Zapytaj, czego chce. — Głos wydał mi się jakiś znajomy. — Skąd ja znam ten głos? — powiedziałem. A ta druga, w kapeluszu, rozmawiająca ze sprzedawczynią czy właścicielką sklepu, ogląda się ze zdziwieniem: — No, wie pan? A któż by nie znał głosu pana Tadzia z przedwojennej Polski? — Pan jest z przedwojennej Polski? Kiwnąłem głową, a ona: — Cała przedwojenna Polska śpiewała to, co pan Tadzio śpiewał. — Co takiego? — pytam, a ona: — A choćby „Gdy zakwitną białe bzy" albo „Nazywał ją słodkim imieniem Charmaine, Charmaine" — i usta jej się w ciup składają, a przy „Za tyle pięknych dni" ma łzy w oczach. Najpierw pomyślałem: wariatka, potem: pewnie przy tych „białych bzach" na słowiki chodziła, ale co mnie obchodzą bzy, Charmaine'y czy Ramony. Szukałem Semenka, Semenko śpiewał tak jakoś: „Ta popływa pławynoczka", „Yj sida wojti-rida, sitaj-ritaj, dana, lubka moja, sołodeńka". — Przepraszam — mówię — niejakiego Semenka pani tu nie zna? Ma gdzieś sklep na Milwaukee, nie wie pani pod którym?

— A wtedy ta w kapeluszu: — Semenko? Ukrainiec? — Nie zdążyłem zaprzeczyć, że on ani całkiem Polak, ani Ukrainiec, „ja, Kozak" o sobie mówił, a to znaczyło tam zawsze podwójnie, baby we wsi też „kozoki" na chłopaków mówiły, a na dziewczyny „kozy", gdy ta w kapeluszu odezwała się tak jakoś ostro: — Pan też Ukrainiec? A może upowiec? Może obaj przybijaliście Polaków gwoździami do drzwi?

Sprzedawczyni, albo właścicielka, pociągnęła ją za rękę. — Daj spokój, ty wszędzie upowców widzisz. — I do mnie łagodząco: — Ile on ma lat, jak wygląda ten Semenko? — Powiedziałem: — Szesnaście. Wysoki, osiłek, czarne włosy, czarne oczy, śniady. — I przypomniałem sobie, że to wtedy, w Polsce, miał szesnaście lat. Poprawiłem się: — Taki był, jak z Polski wyjeżdżał, jeszcze przed wojną, teraz... — Przyszło mi do głowy, że teraz będzie miał chyba czterdziestkę z okładem, może być zmieniony, mogę się o niego otrzeć na ulicy i nie poznać go. Ten facet z biura...

Jak to „jaki facet" — pytasz. — Nie mówiłem ci? Przecież ci mówiłem: one kazały mi iść do tych Polaków, którzy tu od urodzenia mieszkają, do jakichś starych kupców albo do apteki, lub do biura podróży. Oni, ci starzy, wszystkich w tej dzielnicy znają.

Ten facet z biura podróży popatrzył na mnie wodnistymi oczami spod krzaczastych siwych brwi, okulary opuścił na nos i mówi: — Semenko? Semenko? Znam trzech: Johna, Boba, a także Iwana, ale temu Semeniuk. — Przerywam mu ze złością, bo mi ten gość coś kręcić zaczyna: — Nie żaden John ani Bob, ani żaden Semeniuk, tylko po prostu Semen; tak wołali na niego starzy, a my zdrobniale Semenko. — Wtedy ten wodnisty z okularami na czubku nosa powiada: — To chyba imię, a nazwisko?

Nogi mi przyrosły do ziemi, uświadomiłem sobie, że ja wcale nie wiem, czy to jest imię, czy nazwisko. Wytężyłem pamięć, ale to było tak, jakbym wiadrem nabierał wody z głębokiej, wyschniętej studni. Ja patrzyłem na tego starego o rybich oczach, widziałem go przez zamglone obrazy stamtąd, z Polski, a on patrzył na mnie; wydało mi się, że przez szkło akwarium i kiwające się w nich wodorosty przygląda mi się ciekawie, cicho i spokojnie wielka ryba o przezroczystych oczach. Po chwili długie siwe wąsy, jak wąsy suma, poruszyły się, ryba oddaliła się. Słyszałem jakiś głos, że jakiś tam statek nie odchodzi zimą z Montrealu, tylko dopiero w Quebec i naraz znowu ktoś przy mnie odezwał się: — A może on Siemionko, nie Semenko?

Ktoś z głębi biura parsknął śmiechem; spojrzałem; dwie pannice patrzyły na mnie, potem odwróciły oczy. Jedna poprawiała sobie grzywkę nad czołem, ale byłem pewny, że ona rysuje sobie na nim kółko, że niby ja nie mam wszystkich w domu. Warknąłem: — Nie żaden Siemionko, tylko Semenko. — I już wiedziałem, zacząłem podejrzewać ich, już się domyślałem, co znaczy to rybie, bezbarwne, nieczułe spojrzenie i to kółko na czole jednej z pannic. Ci tu ludzie to jednak mur, nieprzystępny mur. Zwracają się przeciwko nowemu, obcemu. Oni go tu na pewno znają, tego mojego Semenka, i ten siwoczerwony z księgarni, który jak tylko powiedziałem to imię, od razu opuścił powieki, uciekł z oczami i zaprzeczył, że nie zna żadnego Semenka, i to blondynka zakopiańsko-bursztynowa, która mi jakimś panem Tadziem oczy mydliła, a teraz ten sum wąsaty — jakimś Siemionką. Patrzyłem na nich, ja, przybłęda z innego świata, myślałem: trzymają się stare polonusy razem. Uprzedzano mnie, że to ściana, o którą każdy nowy, polityczny emigrant nos sobie rozbije. Jaki ja tam polityczny? Myślałem: tu trzeba inaczej, nie wprost, tu trzeba chytrze, z głupia frant, że niby ci tak bardzo na tym poszukiwanym nie zależy, inaczej nie wydadzą się z tym, że wiedzą za kim chodzisz.

Słońce paliło, upał robił się coraz bardziej gęsty i lepki, marynarkę miałem mokrą na łopatkach, w głowie — z tego gorąca i złości — szum. Zdawało mi się, że ryję się w kretowisku i nie mogę znaleźć wyjścia, duszą mnie zgniłe liście, ziemia zasypuje mi oczy; czułem te grudki piasku pod powiekami. Szedłem gdzieś, sam nie wiedziałem dokąd, w oczy wpadł mi napis: WAITRESS WANTED. Nacisnąłem klamkę: na stołkach barowych siedziało dwóch mężczyzn opartych łokciami o kontuar, odwrócili głowy ku wejściu. Usłyszałem: — Rodak idzie — i głupkowaty śmiech; ci dwaj wytrzęsikufle byli już podpici. Siadłem na trzecim stołku i pytam barmankę: — A waiter niepotrzebny? Musi być waitreska? — Barmanka: — Waiter mi niepotrzebny, musi być dziewczyna. Młoda, ładna, zdrowa, silna. Klienci takie lubią. — A jeden z tych łapikuflów: — I żeby miała duże piersi, klienci takie lubią, kobita bez piersi to jak nie kobita.

— Co podać? — pyta barmanka. Wzruszam ramionami: — Co pani ma? — Może być kaszanka z kapustą — powiada — taka jak w Polsce, przedwojenna. Pan tu pierwszy raz, pewnie nowy? My zawsze bierzemy kaszankę od takiego to a takiego z Ashland — mówi.

Od razu mnie od tej kaszanki pięty przestały boleć i podeszwy palić. Barmanka pyta: — Roboty pan szuka? — Ja: — Na razie nie, jeszcze tam popracuję ze dwa, trzy miesiące, ale dobrze wiedzieć o czymś na przyszłość. I kumpla z Polski szukam, kolegę; w klipę razem graliśmy. — What is klipa? — pyta barmanka. — Chłopaki w to w Polsce grają — mówię — w klipę, w szkiełko, w guziki, szmaciankę kopią. — Barmanka: — U nas w to nie grają. U nas grają w baseball, rughby, w golfa. Jak się ten pański znajomy nazywa, co robi? — Powiedziałem. Zmrużyła oczy za grubymi wypukłymi szkłami: — Semenko, Semenko, nie znam, nie słyszałam, ale... czekaj pan...

Jeść przestałem, patrzyłem na jej wargi, wyciągnąłbym z niej haczykiem słowa, które jej tkwiły jeszcze w gardle. Wreszcie ona: — A może on zmienił nazwisko, wie pan, tu się różnie zdarza, może on teraz Se... Simenko... albo Si... Sajmenko, albo po prostu Simon? Zaraz coś mi chodzi po głowie, jakbym to już słyszała. Nie jestem pewna, ale niech pan zajrzy na Milwaukee pod taki to a taki numer — powiada — a jak nie, to w pierwszą, nie, w drugą, nie, jednak w pierwszą przecznicę — tam, zaraz za rogiem ma byznes jakiś Saymon czy Simon. Kto wie, może to on. Niech ino pan szuka w tych okolicach, a znajdzie pan, ja tu także niedawno jestem, więc jeszcze nie znam wszystkich dobrze. A czy on taki wysoki, rudy jak wiewiórka?

Powiedziałem tej barmance: — On nie był rudy, ten mój Semenko, jego panna była ruda jak wiewiórka. On był wysoki, czarny, miał orli nos, goniliśmy z nim wiewiórki po leszczynie. Wie pani, jak to jest — chciałoby się znaleźć przyjaciela z młodych lat.

Wiedziała, jak to jest.

Tego wieczora nie poszedłem już go szukać. Najpierw wypiłem ze trzy kieliszki, żadnej tam whisky z sodą albo innego świństwa z Seven-Up, jak oni tu piją, tylko zwykłej, naszej, eksportowej i jakoś wszystko rozluźniło się we mnie. Może dzięki tej barmance; pogadała z człowiekiem po ludzku: — Nie siedź pan tam między Portorikanami i Czarnuchami, wynajmij pan sobie pokój tu, w polskiej dzielnicy, przy polskiej rodzinie. Ze swoimi jest źle, ale bez swoich na obcej ziemi jeszcze gorzej. Tak jest na początku, póki człowiek do nowego kraju nie przywyknie. Czasem nigdy nie przywyknie. Dopiero dzieci przywykają. Masz pan dzieci? Nie, to może i lepiej.

Powiedziałem: — pewnie, że lepiej. Ale zaraz pomyślałem: A może gorzej? Może gdybyśmy mieli z Trudą dzieci, to byśmy więcej o tych dzieciach myśleli, a nie o... Choć kto wie, co jest lepiej, a co gorzej.

Po czwartym kieliszku przestałem myśleć o tym, co jest lepiej, a co gorzej. Ci dwaj wytrzęsikufle śpiewali, nie pamiętam co, „Góralu czy ci nie żal" czy coś takiego. Barmanka, dobra kobieta, pilnowała mojego kieliszka. Żeby nie stał pusty. Zapomniałem o wszystkim. Dobrze jest zapominać o wszystkim. Ona o tym wiedziała. Nic nie czuć, nic nie słyszeć, tylko jakieś ciepło, szum, jakbyś się unosił w chmurze albo płynął w miękkiej wacie".

*) Fragment prozy, która się ukaże w najbliższych miesiącach pt. „Partia golfa" w Wydawnictwie Łódzkim.

Rys. Magda Kapuścińska

BRONISŁAW WIECZORKOWSKI

WIERSZE ŁÓDZKIEGO ROBOTNIKA

Dziedzictwo po Matce

Była stanowcza i milcząca,
I bez uśmiechu, w ciągłej trosce,
W najcięższej pracy przodująca.
Zwątpienia — dla niej rzeczy obce,

I ja też taką siłę woli
W mej pracy po niej wciąż dziedziczę,
I ten sam wiodę tryb jej doli,
To samo nawet mam oblicze.

Ulica mojego dzieciństwa

Rozkopano mojego dzieciństwa ulicę.
Z dwu stron, jak złote węże, leżą żwiru zwały.
Niegdyś tu, w koleinach, z radosnym obliczem
Stopami bosej nogi domki budowałem.

Pachniała koniczyną, kwitnącym łubinem.
Ojca kolanem, matki uściskiem mi była.
Choćby ją polewano nie wodą lecz winem,
Nigdy nie będzie taka jak za młodu miła.

Z sercem wśród maszyn

Wpatrzony w błysk na kołach
To wiersz mój, co mnie woła.
Z uśmiechem głową skinę,
A on hyc na maszynę.

Na wałkach i na wełnie
Ucieszył się niezmiernie,
Jak to zwykł czynić. Sprosta,
Bo się do serca dostał.

JAN BRZOZA

ZAPOMNIANI AUTORZY

We wszystkich czasach i epokach istniała tzw. literatura doraźna usiłująca zaspokoić pragnienia czytelnicze. Mniej lub więcej uzdolnieni autorzy atakując tematy aktualne, próbowali nie tylko poruszać problemy nurtujące społeczeństwo, ale wspiąć się na niebotyczne szczyty sławy i nieśmiertelności. Nie wszystkim się to udawało.

Kiedy dzisiaj spojrzeć na historię literatury, to oprócz nazwisk wielkich z obszernymi omówieniami ich dzieł, znaleźć można tylko krótkie wzmianki o nazwisku, imieniu, dacie urodzenia i śmierci z wymienieniem tytułów ich utworów. Ale są autorzy, których nigdzie nie zapisano, choć wydawali książki, byli za życia nieraz bardzo popularni. Dlaczego tak się stało? Powody są różne. Najgłówniejszym jest słabość dzieł, po wtóre niewytrzymałość w stosunku do coraz zmieniających się kryteriów i gustów literackich następnych pokoleń i po trzecie jakiś fatalizm czy brak szczęścia, który kazał dziełom, być może dobrym i mogącym przetrzymać próbę czasu, wpaść w otchłań zapomnienia.

Dla przykładu wybierzmy rok 1892. Przed z górą siedemdziesięciu laty, wtedy, gdy tworzyli Kraszewski, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Konopnicka, wyszła w druku masa książek pisarzy mniejszych, ale i takich, którzy dziś poszli w zapomnienie. Co było ich tematem? Dość burzliwie rozwijający się kapitalizm i jego poboczne skutki, upadek ziemiaństwa, powstająca klasa robotnicza i słabo rozbudzająca się świadomość ludu wiejskiego, to główne nurty zainteresowań autorów, a co za tym idzie i czytelników. Wielu krytyków (dziś też zapomnianych) ostro atakowało te słabe utwory, choć dostawało się tego i Sienkiewiczowi i Kraszewskiemu, oraz innym wielkim pisarzom. Jak np. krytyk podpisujący się Bronisław Chrzan...ski napisał: „Nowele Sienkiewicza o motywach prostych a jednak dramatycznych zwróciły większą uwagę, ale cykl powieści historycznych lśniący co prawda wspaniałemi barwami, nie może jednak podziałać tak na widzów obojętnych nie potrzebujących sztucznie narkotyzować się marami przeszłości. „Bez dogmatu" — lubo to utwór świetnie napisany — zawiera jednak bardzo wiele pierwiastków znanych już i przeżuwanych obecnie przez ciżbę pomniejszych gwiazd literackich. „Placówka" jest to wiązanka całkiem egzotycznego kwiecia"...

Józef Rogosz wydał w owym 1892 roku powieść pt. **„Grabarze"**. Akcja powieści toczy się wokół trzech zagadnień galicyjskich, biurokracji, starej i nowej szlachty. Występuje w tej powieści kilka charakterystycznych postaci, jak prezydent sądu Turban, karierowicz i czciciel pieniądza, który wydał córkę za miernego adwokata i pomaga mu w robieniu kariery. Radca Darski, zasuszony, tępy biurokrata, wielbiciel kodeksów, wierny sługa monarchii i zacięty wróg szlachty. Nowa szlachta to Bartłomiej Grzywa wzbogacony chłop, lichwiarz, wysadzający z majątków prawdziwych „panów", ubiegający się o godność marszałka rady powiatowej. Jest niejaki Troicki zbankrutowany półpanek, sybaryta i powiatowy bawidamek. Jest kobieta z przeszłością, podejrzana dama polująca na zamążpójście z innym dorobkiewiczem, Goldfajderem. Bohaterem pozytywnym jest jednak hrabia Tęczyński, „wzór cnót obywatelskich i prawy charakter". Stary hrabia stawia siebie za wzór tym wszystkim dorobkiewiczom, zwolennikom łatwej kariery urzędniczej. Ma wprawdzie syna Stanisława, znanego hulakę, utracjusza, który przegrał w karty w Monte Carlo milion reńskich, ale i on pod wpływem wzniosłych przemówień starego hrabiego wyjeżdża do Brazylii, gdzie twarde życie wyprostowuje jego morale. Wraca do kraju, żeni się z francuską księżniczką miłującą go „całą głębią arystokratycznej duszy". Córki starego hrabiego, mężatka Alicja i panna Zosia pracują wytrwale nad odnowieniem nadszarpniętego przez marnotrawnego syna majątku, wyrabiają i handlują masłem, zakładają kantynę dla robotników pracujących przy budowie kolei. Spięciem dramatycznym powieści jest aresztowanie starego hrabiego i posądzenie go o zamordowanie ciotki Zielińskiej, niezmiernie bogatej staruszki, której spadek miał przypaść w udziale hrabiom Tęczyńskim. Inspiratorami są, jak wiadomo, sędzia Turban i radca Darski. Sprawa się wyjaśniła dzięki aresztowaniu prawdziwego mordercy, lokaja Dyonizego.

Kazimierz Rojan napisał powieść pt. **„Tymko Medier"**. Tutaj też głównym problemem jest upadek ziemiaństwa. Pan Marek Radliński jest właścicielem ziemskiego majątku, który wskutek ustawy przeciwpańszczyźnianej i naporu burzliwej zmienności pieniężnej popadł w kłopoty finansowe. Grozi mu licytacja i wyzucie z majątku. Przywędrował do niego dziad na pół oślepły, którego pan Radliński przyjął z litości dając robotę w sadzie. Dziad zapadł na chorobę i przed śmiercią wyznał Radlińskiemu w tajemnicy, że należał do bandy opryszków, która rabowała okoliczne dwory. Potem bandę zlikwidowano i osadzono na długie lata w więzieniu. Opisał Radlińskiemu kryjówkę zakopanych skarbów. Po jego śmierci Radliński długo się waha, ale terminy płatności i groźba licytacji zmuszają go do kopania w wyznaczonym miejscu. Nie znajduje skarbu w jednym miejscu, zaczyna kopać w innym. Im bardziej padają na niego ciosy kłopotów majątkowych, tym zacieklej kopie spędzając noce w poszukiwaniu skarbu, którego czy nie ma, czy on nie może odnaleźć. Skarb Tymka Mediera jest nieuchwytny. Pan Radliński ma synowca Michała. Ten inaczej patrzy na świat uważając, że jedyną ideą jest wzbogacenie się. On to zawiedziony w pewnej miłości opuszcza kraj, przebywa w Wiedniu, gdzie okradła go tamtejsza kokota. Dostaje się do Styrii, i tam w fabryce żelaznej nabywa fach, i z tym fachem wyjeżdża do Ameryki. Tam na zakupionej działce ziemi wybucha ropa naftowa czyniąc go milionerem. Ten pierwszy szyb naftowy nazwał „Tymko Medier". Kiedy wrócił do kraju zabrał się do pomnożenia majątku, ale też według słów autora: „zaludniał zewnętrznem widzeniem biedne, nikczemne przestrzenie galicyjskie innymi ludźmi, budował domy białe, kryte gontami lub dachówką, okolił je sztachetami, napełniał przyległe obory rasowem bydłem, rozdawał własną ręką nasiona, gdzieniegdzie rzucał na tło horyzontu komin jakiejś fabryki, gdzieniegdzie ustrajał

je w szkołę przemysłową lub rolniczą, a nie, to w zakłady sierót i wydziedziczonych".

Powieść **Włodzimierza Zagórskiego „Szalone głowy"** jest opisem perypetii miłosnych i wyścigowych arystokraty Stefana Borowskiego. Straciwszy majątek tym razem na wyścigach opiera całą nadzieję na koniu, który wygra wszystkie wyścigi na torach europejskich i tym samym umożliwi odzyskanie majątku. Odrzucenie zaś miłości pięknej leśniczanki Peppi daje autorowi pretekst do snucia rozmyślań nad zagadnieniami bytu, miłości i w ogóle filozofii.

Kilka zbiorków opowiadań jak **„Z zakutego grodu" Henryka Glińskiego, Zygmunta Niedźwiedzkiego „Słońce"** i **Stanisława Rzętkowskiego „Z pomiędzy ludzi"** poruszają aktualne wówczas zagadnienia „współczesne". Oto np. w opowiadaniu swym Gliński ostrą satyrą rysuje górną warstwę mieszkańców zakutego grodu, a więc kilka starszych dam zajmujących się plotkarstwem panów ogarnię tych hipokryzją i obżarstwem. W jednym, bodajże najlepszym opowiadaniu Niedźwiedzkiego zatytułowanym **„Nowa era"** czytamy o pewnym miasteczku galicyjskim, w takiej zwyczajnej dziurze, znaleziono ropę. Zaczyna się tu swoistego rodzaju rewolucja. Oprócz najazdu awanturników zmieniających oblicze społeczne miasteczka, powstają tu różne instytucje rozrywkowe, na czele których lokal restauracyjny z obsługą damską, czyli dom publiczny. Oburzona burmistrzowa zmusiła męża, aby lokal zlikwidował. Niestety, powtarzające się burdy i wypadki zgwałceń spowodowały to, że lokal znowu został uruchomiony. Opowiadanie Rzętkowskiego pt. **„Czarna dola"** jest rzewną historią dwojga zakochanych. Ona, bogata panna z arystokracji, on ubogi plebejusz. Wzięli ze sobą ślub wbrew woli jej rodziny i skończyli marnie na dnie nędzy.

Książka **Ksawerego Aleksoty** jest czymś w rodzaju pamiętnika i nosi tytuł **„Moje konkury"**. Autor postanowił sobie ożenić się tylko z taką niewiastą, która by odpowiadała jego warunkom. „Szukałem kobiety — pisze on — która miałaby następujące warunki zewnętrzne: przede wszystkim dobry wzrost, wdzięczną figurę, pociągający wyraz twarzy, wyraziste oczy, równe, białe zęby, barwne i świecące włosy, usta różowe, niezbyt odwinięte i jasno odrysowane (podobno najlepsze do całowania), kształtny nos, myślące czoło, foremne uszy, niewielkie ręce — nogi, nakoniec zgrabne, lecz dobrze ukształtowane stopy"... A dalej: „Żona powinna tyle tylko mieć rozumu, aby ten wyzwolił ją z przesądów i ustrzegł od uprzedzeń — wiedza zaś jej w ogólności winna być bardziej praktyczną niż umysłową".

Dużo pisały i wydawały kobiety. Popularnością cieszyła się **Waleria Marrene-Morzkowska**. Jej powieść pt. **„January"**, jest studium psychologicznym mężczyzny. January, to ideał mężczyzny ówczesnych czasów. Wysoki, dobrze zbudowany (z pięknym wąsikiem), utalentowany literat, energiczny, dumny, stanowczy w swoich sądach o świecie. Zbyt poważny na miłostki, zbyt dumny na rozpustę, a więc znający kobiety tylko z teorii, zakochuje się w mężatce, pani Helenie. Ona też cnotliwa, otoczona szacunkiem, dziećmi i kochającym mężem nie zwraca na niego uwagi. Dopiero pożar jej mieszkania i bohaterskie zachowanie się Januarego, który wynosi z płomieni jej dzieci zbliża ich, oczywiście, w ramach konwenansu. January oczarowuje ją umysłem i wypowiadanymi ideami, zbliżają się do siebie (oczywiście duchowo), lecz czują, że ogarnia ich miłość. Pani Helena jest zbyt uczciwą, ale szuka rady u przyjaciółki Oktawii, która jakkolwiek nie ma przesądów, jednak nie radzi Helenie zapuszczać się w nieznane jej sprawy. Po tej rozmowie Helena bezmyślnie wsiada do pociągu i jedzie w niewiadome. W jakimś miasteczku w hotelu spotyka Januarego, który jechał za nią. W rozmowie z Heleną January znowu wygłasza swoje zasady, których ideą jest walka z przesadami. Jeżeli człowiek chce być szczęśliwy, musi walczyć z przesądami. Spędzają noc razem, potem uciekają za granicę do Styrii (ach ta Styria), gdzie January sprowadza dzieci Heleny. Potem wracają do Krakowa, gdzie January zostaje profesorem uniwersytetu i znanym literatem. Gdy dzieci podrosły, zaczęła się tragedia. Starsza córka Heleny Anielka zakochała się, lecz jej małżeństwo zostało zerwane z powodu jej matki, żyjącej „bez ślubu", popada w gruźlicę i umiera. Nie dość na tym, młodszy syn też umiera śmiertelnie ranny w pojedynku w obronie matki. Przesądy zwyciężyły.

Cecylia Walewska we **„Wspomnieniach"** maluje w sposób ckliwy swoje życie. Chorowite dzieciństwo, anemiczne panieństwo, samobójcza śmierć, a wszystko na zasadzie autopsji.

Powieść **Józefy Szebekówny „Syzyfowe życie"** jest napisana jakby pod wpływem społecznikowskiej idei Konopnickiej. Opisuje jeden żywot chłopa. Witek Lach od dzieciństwa pokrzywdzony na skutek niesprawiedliwości tego świata walczy całe życie o kawałek chleba. Od wczesnego dzieciństwa. Syn folwarcznej zarobnicy i żołnierki, pasie gęsi, potem, gdy nieco podrósł awansował na owczarka. Gdy został parobkiem zakochał się w dziewczynie sobie równej pod względem społecznym, ale porwał mu ją panicz. Więc zawiedziony uciekł w świat. Dostał się na służbę do „postępowego pana" Barwińskiego, który nie wypłacał służbie jej zarobków, lecz składał ucząc oszczędzania, aby w przyszłości taki służący mógł sobie kupić gospodarstwo. Pan umarł, a jego syn nie zwrócił Witkowi oszczędności, przegrywając je wraz z majątkiem w karty. Zrozpaczony Witek przepił resztę pieniędzy bawiąc się całą noc i to była cała jego radość. Być może, iż po takiej nocy nie uważał zbytnio i maszyna podczas pracy urwała mu rękę. W szpitalu siostra pielęgniarka pocieszyła go wiarą w pozaziemską nagrodę za wszystkie cierpienia. Kaleka Witek powrócił do rodzinnej wsi, gdzie jako nocny stróż folwarczny mógł „oddać się wreszcie modlitwie i pokorze".

SPEKTAKLE tygodnia

Film

POLONIA	„Zabłąkana w Rzymie" 20 seansów	6.394 — 45%
	„Faraon", 28 seansów	7.760 — 50%

Teatr

NOWY	„Dożywocie", 1 spektakl	700 — 100%
	„Lato w Nohant", 1 spektakl	700 — 100%
	„Życie Galileusza" 1 spektakl	400 — 55%
	„Jeszcze raz o miłości", 1 spektakl	400 — 55%
NOWY Mała Sala	„Anioł na dworcu", 1 spektakl	170 — 75%
	„Drewniana miska", 1 spektakl	170 — 75%
	„Lekcja", „Szaleństwo we dwoje", 1 spektakl	170 — 75%
JARACZA	„W pustyni i w puszczy" 2 spektakle	1372 — 100%
	„Kolumbowie — rocznik 20" 1 spektakl	675 — 100%
	„O krasnoludkach i sierotce Marysi", 1 spektakl	679 — 100%
POWSZECHNY	„Tango", 1 spektakl	468 — 70%
	„Robin Hood", 1 spektakl	650 — 97%
	„My fair lady", 2 spektakle	1336 — 100%
7.15	„Taka noc nie powtórzy się więcej" 3 spektakle	1263 — 100%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Anioł na dworcu" 3 spektakle	943 — 100%
	„Antygona", 5 spektakli	1449 — 100%
FILHARMONIA	1 koncert symfoniczny słuchaczy	403 — 60%

Uwaga: cyfry procentowe oznaczają stosunek procentowy liczby widzów do ilości miejsc na widowni.

JANUSZ TERMER

OPOWIADANIA JANA CZARNEGO

Pogranicze snu i jawy, realności i niezwykłości, rzeczywistości i wyobrażeń o niej, świadomości i nieświadomości, fałszu i prawdy, mitu i codzienności, banalności i niezwykłości — otóż te właśnie „elementy", ich wzajemne przenikanie się i nakładanie, stanowią podstawę faktury i klimatu opowiadań Jana Czarnego.

Autor znany jako poeta i fraszkopisarz sięgnął po nową (tom „Tresowany motyl" jest jego debiutem prozatorskim) formę wypowiedzi. Nazwaliśmy ją opowiadaniem. Czy tak jest istotnie? Sprawa skomplikowana o tyle, że istotnie to, co prezentuje Czarny jest dość dalekie od tego co przywykliśmy określać mianem opowiadania czy noweli. Formalnie rzecz biorąc są tu przecież podstawowe wyznaczniki tradycyjnego opowiadania: bohater jest zindywidualizowany psychologicznie i społecznie, fabuła skoncentrowana na na jednym temacie, wyraźne ciążenie ku zakończeniu — puencie... Skąd więc te wątpliwości terminologiczne? Ano stąd, że na tym zewnętrznym podobieństwie kończą się wszelkie analogie. Rzecz ma się podobnie jak wówczas, gdy porównujemy pisarstwo Kafki z jakimś solidnie tradycyjnym, dziewiętnastowiecznym wzorcem prozy realistycznej. Nikt jednak nie odważyłby się odczytywać Kafki poprzez ten wzorzec. Byłoby to, jako zabieg interpretacyjny, czymś z gruntu fałszywym i przeraźliwie płaskim, banalnym. Ale nie da się przecież ukryć, że są tu rzeczywiście liczne punkty styczne w formalnej, zewnętrznej warstwie obu tych modeli prozy.

Nie sposób więc i „opowiadań" Czarnego odczytywać poprzez ten tradycyjny typ opowiadania. Bowiem gdybyśmy wzięli jakikolwiek element tej prozy i próbowali go wyjaśniać w kategoriach „zdroworozsądkowych" i płasko realistycznych, to wysiłki nasze spełzłyby na niczym; wszystko wydałoby się nam niedookreślone, płynne, nieuchwytne, niekoherentne we wnętrznie i pozbawione głębszego znaczenia. Ot taka, panie, igraszka słowami i obrazkami, uniezwykłona niecodziennym punktem obserwacji (narracji) banalnej, codzienności miejskiej egzystencji.

Nie chcę przez to wcale powiedzieć, że należy zestawiać prozę Kafki z prozą Czarnego w płaszczyźnie problemowej, filozoficznej... I wcale nie chcę też wartościować. Chcę natomiast tylko pokazać, że należą one wspólnie do tego nurtu dwudziestowiecznej prozy, który charakteryzuje zrywanie z niewolniczym trzymaniem się zasady prawdopodobieństwa życiowo-sytuacyjnego, co ma swoje rozliczne konsekwencje we wszystkich warstwach utworu, poczynając od motywacji a kończąc na kompozycji. Oczywiście w ramach tak szeroko i ogólnie pojętego „nurtu" mieścić się mogą różne zjawiska; Kafka i Schultz, Flukowski i Truchanowski...

Jeśli zaś już porównywać to te dwa ostatnie nazwiska wydają się najbliższe temu co pokazuje w swych trzydziestu dziewięciu króciutkich opowiadaniach Jan Czarny. Opowiadania te tkwią zresztą znakomicie w tradycjach literatury polskiej. Są to właściwie rozbudowane fraszki, których mistrzem okazał się Czarny w tomie „333 fraszki", łącząc w spójną całość odrębności stylów dwu znakomitych fraszkopisów. Leca i Sztaudyngera. Mimo, że pisane prozą, są równie zwarte, lapidarne, celne. Jedne z nich

Jan Czarny w karykaturze Ibis-Gratkowskiego

— podobnie jak fraszki — są zintelektualizowane, konceptyczne, inne „żywiołowe" i osadzone w potoczności językowej i obyczajowej. Najczęściej jednak zasadą tworzenia są oba ciągi wymienionych cech (patrz np. „Ratusz na kółkach" czy „Ich różowy wielbłąd").

Lecz jest różnica między poprzednimi fraszkami a opowiadaniami zawartymi w tomie „Tresowany motyl". Różnica czysto stylistycznej natury. Fraszki budowane były na zasadzie sloganu; semantyczny banał połączony ze stylistyczną niespodzianką (np. „Ciekawe jakie poglądy mają o koniach wielbłądy"). Natomiast opowiadania zbudowane są na zasadzie nieco innego chwytu językowego; mianowicie na zasadzie rozbudowanego dowcipu stylistycznego, polegającego na zestawieniu nie zaskakujących rymów — jak we fraszkach, a na zderzaniu — również niespodziewanym — małych obrazków „z życia z fantazją", czasami pogodną i ironiczną, czasami koszmarną jak u Kafki („Paznokieć Jamrozia").

Nie jest to już oczywiście szokujące dla nas obytych z prozą Brunona Schultza, Kazimierza Truchanowskiego, Andrzeja Kuśniewicza... Nie dziwią nas różowe wielbłądy pojawiające się w biały dzień w kawiarni, ludzie zmieniający się w ptaki, paznokcie potworniejące, rosnące do niebywałych rozmiarów, tresowane motyle. Szukamy już tylko sensu tego rodzaju postępowania twórczego, zadajemy pytanie po co? Czarny stara się nadać swym opowiadaniom rys ponadczasowości, i to zarówno wtedy, gdy osadza je w konkretach bardzo realnych i określonych, bliskich potocznemu doświadczeniu, jak i wówczas gdy stara się zaskoczyć czytelnika stylistyczną niespodzianką wprowadzając do swej prozy elementy niezwykłości, nierealności czy czystej groteski. Ponadczasowy jest metaforyczny sens tych utworów, w których ukazana została nieustająca, nieprzerwana opozycja między naszym wyobrażeniem o świecie a światem samym, między tym co wyrazalne i nie wyrażalne, możliwe do osiągnięcia a tym co zaledwie przeczute i niedookreślone w potocznych, danych nam doświadczeniach, między tym co psychiczne, „świadomościowe" a tym co brutalnie materialne i nieosiągalne, między tym wreszcie co jest odwiecznym pragnieniem człowieka: dążeniem do pełni szczęścia a czynnikami hamującymi bądź uniemożliwiającymi ten proces.

„Tresowany motyl" — to pozycja niełatwa, niejednoznaczna i niejednakowo wartościowa w konkretnych realizacjach, lecz warta podjęcia trudu lektury, pod warunkiem jednak, że przyjmiemy autorski punkt widzenia, że damy się wciągnąć w ten dziwny i swoisty świat zmyślenia i prawdy...

Jan Czarny: Tresowany motyl. — Łódź 1965 WŁ. 16° s. 181, 3 nlb., zł 10.

ANDRZEJ GRUN

WOREK JUDASZÓW

Doroczne wystawy okręgowe, z racji zasady, że każdy członek ZPAP-u winien być reprezentowany przynajmniej jedną pracą przypominają ów przysłowiowy „worek judaszów", do którego wrzuca się wszystko nie bardzo zdając sobie sprawę, co z tego wyjdzie. Stąd wystawy te są raz lepsze, raz gorsze a poziom poszczególnych prac jest bardzo różny. Wystawiają bowiem pospołu artyści wybitni z twórcami mniejszego kalibru przy akompaniamencie miernoty zwykle prezentującej się w największym procencie.

Jubileuszowa, dwudziesta z kolei wystawa łódzkiego okręgu cierpi na te same dolegliwości, co każda inna wystawa tego typu.

Różnorodność prac ogromna, sposoby interpretacji natury bardzo różne, mnogość kierunków, orientacji i postaw artystycznych, mnogość technik i tematów.

Trzy sale zawieszone obrazami, rysunkami, grafiką. Cztery rzeźby (ten gatunek sztuki prezentowany jest przez łódzkie środowisko bardzo skromnie). Ogólnie — wystawa duża i bogata a jednak... A jednak wychodzi się z tej wystawy rozczarowanym, z wrażeniem niedosytu, niepełności doznań. Z wrażeniem smutku i zawodu.

Czyżby więc w liczbie 156 dzieł wystawionych nie znalazło się kilka bardzo dobrych czy chociażby dobrych prac? Nie. Nie o to chodzi. Są na pewno na tej wystawie prace dobre, zasługujące na miano obrazu, do których można zastosować z czystym sumieniem określenie „malarstwo" czy „grafika". Obrazy Tyszkiewiczowej, Jaśkiewicza, Jaeschkego, Strumiłły, że wymienię tylko kilka nazwisk. Ale jest wiele, bardzo wiele złych, nudnych, konwencjonalnych i płytkich, które stwarzają atmosferę, przygniatają i gubią obrazy dobre. A te ostatnie nie potrafią jakoś obronić się, wywalczyć sobie należnego im miejsca, zabłysnąć pełną skalą swych wartości. I w tym dialogu ostatnie słowo należy niestety do miernoty. Może to wina proporcji, może wina ekspozycji, a może obrazy złe w swej masie mają właściwości podmokłych torfowisk, moczarów wciągających zachłannie w siebie wszystko. Może, ale w takim razie fakt ten nie świadczy na pewno na korzyść obrazów dobrych.

Jest poza tym na tej wystawie kilka małych rewelacji (czy są to rewelacje natury artystycznej — pozostawiam do rozsądzenia zwiedzającym).

Jedną z tych rewelacji jest zdumiewająca metamorfoza malarstwa Zdzisława Głowackiego. Po dość dużym i długo trwającym cyklu obrazów budowanych gruba faktura, oscylujących między informelem a abstrakcją ekspresyjną, nasyconych w kolorze, intensywnych i mocnych, bardzo zmysłowych Głowacki wystawił „Kompozycję różową" będącą zaprzeczeniem nazbyt krańcowym, aby budziła przekonanie. Gdzieś już to oglądaliśmy. Strzemiński, Wegner? A może się mylę. Może chodzi tu po prostu o jednorazowy hołd złożony wielkiemu nowatorowi z grupy „ar".

Drugim dla mnie zaskoczeniem jest przedstawiciel (od niedawna) „polskiego pop'artu" — Lech Kunka. Malarz ten zdążył już sobie wypracować własny styl, swoje widzenie z którym można się zgadzać lub nie ale z którym na pewno można dyskutować. Stworzył kilka dzieł bezspornie dobrych, jak chociażby „Byk" — duża, ażurowa kompozycja przestrzenna powstała na Biennale Form Przestrzennych w Elblągu. Sugestywna i czysta, mieszcząca się doskonale i wynikająca całkowicie z konwencji artystycznej tego malarza. I oto na wystawie spotykamy się z obrazami, w stosunku do których trudno jest zająć jakieś określone stanowisko (zetknęliśmy się z nimi zresztą już na kilku poprzednich ekspedycjach). Konwencja malarska została zachowana, ale w kompozycji umieszczone zostały zdjęcia powycinane z magazynów, przeciągnięte kolorem dla lepszego wtopienia w tło. Charakterystyczne dla Kunki formy kuliste a w nich reprodukcje ludzi, ludzkich twarzy. Pierwsze pytanie, które się nasuwa to — po co? W imię czego? Tak bardzo ten mariaż wydaje się być sztucznym i nieprawdziwym. W imię oryginalności? Dla oryginalności w tym sensie w sztuce nie ma miejsca!

Przypomina mi się, kiedy patrzę na te nowe obrazy Kunki, sprawa hapeningu w ogóle i hapeningu polskiego. Na Zachodzie — sale obwieszone surowym mięsem, spryskane zwierzęcą krwią, a wszystko na tle ścian wybitych białym nylonem. U nas — pokaz golenia wąsów, i makaron z jajkiem na twardo, którym obsypano snobistyczną publiczkę warszawską. A może, u licha, artystami są owi spryciarze, którzy w „Desie" sprzedają wycięte reprodukcje z albumu Rublowa naklejone na kawałek tarcicy i pomalowane z wierzchu werniksem i brązem, aby było prawdziwiej? Co jest co? To fakt, że „dobry żart — tynfa wart". Ale sztuka to nie miejsce na żarty, a w każdym razie nie na takie żarty.

Ten kto zwiedza wystawy też człowiek i robić z niego balona nie ma sensu i nieładnie. Nieładnie, bo przyszedł na wystawę żeby zaspokoić swoją wewnętrzną potrzebę piękna, nie ma sensu — bo może drugi raz nie dać się nabrać i nie przyjść więcej. A na to nas nie stać!

Nie sposób w krótkiej recenzji omówić wszystkie problemy wynikające w trakcie oglądania wystawy. Jest ich wiele, bardzo wiele. Dlatego jeszcze tylko kilka słów o realistach. Większość z tych, którzy wystawili obrazy przedstawiające ograniczyła się do ukazania w tych obrazach wizerunku przedmiotu (w sposób bardzo konwencjonalny i powierzchowny), do „scenki wziętej wprost z życia" (bardziej te scenki przypominają teatr niż życie), do zanotowania po prostu jakichś „realiów" (i nie z życia jak należałoby sądzić, a wydumanych).

Tego rodzaju zawężenie problemu do zagadnienia czysto zewnętrznego dało w rezultacie obrazy tanie i uniemożliwiło jakakolwiek penetrację poznawczą, leżącą przecież u podstaw realizmu. Curiosum dla mnie dziwnym a strasznym były obrazy Zenona Wasilewskiego: „Ciało" i „Pogrzeb młodości". Pomijając fakt, że malowane są nieudolnie (przy tego rodzaju traktowaniu formalnym potrzebne jest doskonałe rzemiosło i wyśmienity rysunek, nie mówiąc o tym, że trzeba być jeszcze dużej klasy poetą — vide malarze surrealizmu czy chociażby Kraw czyk), to skojarzenia natury myślowej są tak prymitywne, a nawet wulgarne, że aż żenujące. Owe popluczyny surrealistyczne, zwłaszcza w takim wydaniu, nie cieszą dziś nikogo. To „chciejstwo" (powtarzam słowo za Wańkowiczem) jest bardzo charakterystyczne dla wielu malarzy na wystawie. „Chciejstwo" aby zaskoczyć, zaszokować innością (Mieczysław Szadkowski), „chciejstwo" aby być nowoczesnym (Stefan Krygier, Turski), „chciejstwo" aby nie być nowoczesnym, „chciejstwo"... „chciejstwo"..., „chciejstwo..." I niemożność. W sztuce kłamać nie można. Gry i gierki tu nie popłacają. Jest miejsce tylko dla uczciwości i prawdy.

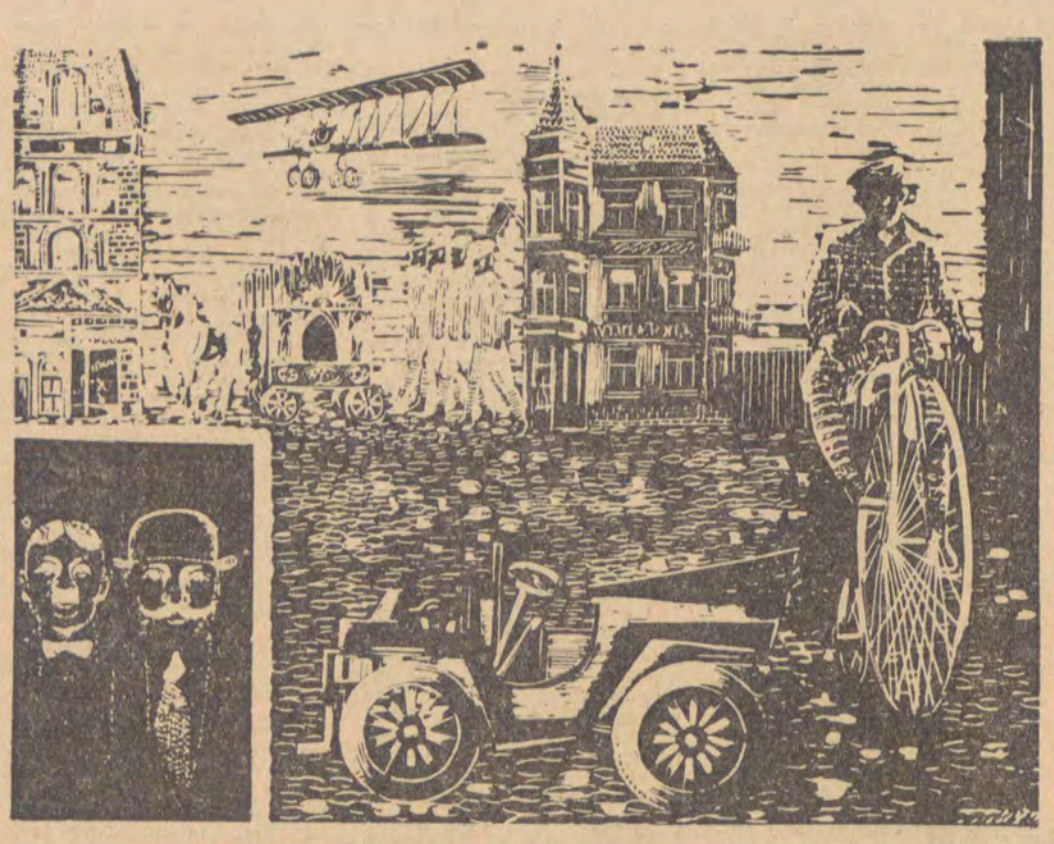

J. Tusiński — „Miasteczko".

KRONIKA Antytelewizyjna

„HORSZTYŃSKI"

Bezsprzecznie na nazwę wydarzenia zasługuje „Horsztyński" Juliusza Słowackiego w teatralnej adaptacji i reżyserii Jana Kreczmara.

Nasz wielki repertuar tylko wtedy powinno się przedstawiać telewidzom, jeśli ma się przekonanie co do wartości teatralnej realizacji, bo przecież na uprzednią znajomość tekstu wśród masowego widza nie ma co liczyć, spektakle stają się jedyną prezentacją, mogą przekonywać lub zniechęcać.

Tym razem Słowacki mógł dotrzeć do powszechniejszej świadomości jako wielki autor dramatów i tragedii. Da się przynajmniej żywić taką nadzieję. „Horsztyński" stał się przedstawieniem bez zbytniego patosu, bez koturnów. Obcowaliśmy z ludźmi, oglądaliśmy sceny, które zawierały ładunek realizmu życiowego.

Andrzej Antkowiak w roli Szczęsnego był prawdziwy, choć nie było wątpliwości, iż pochodzi z wielkiej tragedii romantycznej. Jego ojciec, hetman Kossakowski, to pyszny wielmoża, dzięki Janowi Świderskiemu zrozumiały, mimo iż groźny i odpychający.

Ksawery Horsztyński, dawny konfederat barski, w interpretacji Władysława Hańczy był zapewne najbardziej zdumiewający, dzięki zupełnej „naturalności". Ponieważ p. Hańcza stosunkowo często występuje w TV, chciałbym to uzupełnić dość szczególnym komplementem: już po kilku wypowiedzianych przez niego zdaniach całkowicie zapomniałem, że to „koń, który mówi"! W innych wypadkach „echo konia" przeszkadzało mi.

Właściwie to z dodaniem takich czy innych przymiotników pochwalnych należałoby wymienić wszystkich wykonawców, choć reprezentowali niekiedy postacie najzupełniej epizodyczne. (Dobrze zagrać w epizodzie, jak twierdzą niektórzy znawcy, jest podobno najtrudniejsze).

Polemika mogłaby więc dotyczyć ogólnego potraktowania tragedii, jej adaptacji. Cokolwiek wybierze Szczęsny, łaknący wielkości, zawsze będzie tragiczny: opowie się po stronie ojca — zostanie zdrajcą sprawy narodowej, opowie się po stronie rewolucjonistów — sprzeniewierzy się synowskiej miłości, zrejteruje — sam siebie skaże na nikczemność. Adaptacja tragedii Szczęsnego zawisła trochę w próżni, za bardzo czyniąc z niego hamletyzującego młodzieniaszka. Chodzi o to, że w adaptacji zabrakło wielu ważnych kwestii i scen, dotyczących sytuacji historycznej. Gdyby je pozostawiono, Szczęsny stałby się w dobitniejszy i zrozumialszy sposób bohaterem dramatu narodowego w kraju, w którym tak często w najbardziej skomplikowanych i trudnych okolicznościach trzeba wybierać, a wybór nieraz hamował krwioobieg w sercach najbliższych.

Gdyby owe sceny zachowano, może nie trzeba byłoby aż tak bardzo wyeksponowywać scen, rozgrywających się między Sforką a Trombonistą, które cokolwiek nużyły, choć były, zwłaszcza w wypadku tej adaptacji potrzebne jako krzywe zwierciadło dla zupełnie innej rangi „wariacji" Szczęsnego.

Warto jeszcze i na tych łamach wyrazić uznanie dr Stefanowi Treuguttowi. Jest on niewątpliwie najlepszym przedmówcą do spektakli TV. Wyjaśnia, ale zostawia wiele marginesów dla słuchacza. Nie przemawia i nie referuje, ale jak gdyby rozmawia z rozmaitymi grupkami telewidzów, jest tylko uczonym partnerem w jakimś wyimaginowanym wielogłosie.

„Bigos" z serii „Dzień ostatni, dzień pierwszy" zasługuje raczej na przyganę. Zawinił scenarzysta. Scenariusz, owszem, ma pozory nowelki filmowej z puentą, ale tylko pozory. Mój Boże, przecież to w końcu niezbyt odległe czasy i jakże bogate w wypadki, w dramatyczne zawęźlenia. Mają one obfitą już literaturę. Niezbyt odległe, ale i nie na tyle bliskie, by nie można było sobie pozwolić na inspiracyjną swobodę. Tymczasem ta „kapusta", choć właśnie skądinąd autentyczna, została tak wykorzystana, że nie ma w niej niczego z prawdy uogólnionej w sposób artystycznie przekonywający.

Jeśli film zawierał parę dobrych scen, to zaliczyć je należy na korzyść aktorów (z wyjątkiem p. Jankowskiego, który był kiepskim lwowiakiem) i reżysera, Sylwestra Szyszki.

Tematem kolejnego programu „Bez apelacji" były sprawy środowiska, rozgrywające się w Sejnach w Białostockiem. Przewód niewiele dostarczył danych do wyrokowania, nasuwał za to istotne refleksje. (Co z tym liczydłem? Jak u nas ceni się ludzi schodzących ze sceny? Jak może się czuć były długoletni kierownik w sytuacji podwładnego? Gdzie jest granica między sobiepaństwem a interesem społecznym?) Przewód może stać się raczej jeszcze jedną pobudką dla dobrego opowiadania obyczajowego, którym nasza krytyka tak pogardza. A trzeba jeszcze pamiętać, że w części drugiej mamy się spotkać z innymi przedstawicielami małomiasteczkowego środowiska!

Jan Huszczo

KSIĄŻKI NADESŁANE

Leon Szwed — **NA RAZIE NIGDY**, Z. N. im. Ossolińskich, cena zł 22.—

Anna Zawadzka — **FORMY**, Z. N. im. Ossolińskich, cena zł 16.—

Zbigniew Krempf — **RESZTĘ POZOSTAW BOGOM**, cena zł 17.—

Tadeusz Kwiatkowski — **KLATKA** — WL, cena zł 16.—

Hanna Buczyńska — **PEIRCE** — WL, cena zł 15.—

Eugeniusz Paukszta — **POGRANICZE**, LSW, cena zł 37.—

Mirosław Gasiorowski — **DYPLOMACI I KONSULOWIE** WP, cena zł 12.—

Adam Podgórecki — **ZASADY SOCJOTECHNIKI**, WP, cena zł 15.—

Tadeusz Witowiecki — **TU MÓWI „ŻELAZO"**, Wyd. Łódzkie, cena zł 17.—

Henryk Panas — **GRZESZNICY**, Wyd. Łódzkie, cena zł 20.—

Wiesław Jażdżyński — **MIĘDZY PRAWDĄ A CHLEBEM** Wyd. Łódzkie, cena zł 16.—

Danuta Bieńkowska — **JEDNO MAŁE KŁAMSTWO**, Wyd. Łódzkie, cena zł 10.—

Edward Kopczyński — **TRUDNE EDUKACJE**, Wyd. Łódzkie, cena zł 12.—

SPROSTOWANIE

W numerze 13 „Odgłosów" z dnia 3. IV. 1966 r. podano w dziale „Notatnik Kulturalny" notkę informacyjną o VIII Łódzkiej Wiośnie Poetów. Prostując błąd, podajemy do wiadomości, że TERMIN NADSYŁANIA PRAC NA VIII ŁÓDZKĄ WIOSNĘ POETÓW UPŁYWA Z DNIEM 1 MAJA BR., a nie, jak mylnie podano — 1 kwietnia.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Młoda, brzydka, pretensjonalna, wyglądająca prowincjonalnie brunetka śpiewa z tępym wyrazem twarzy big-beatowe ye-ye-ye. Śpiewa bardziej z nawyku niż potrzeby dania upustu radości, żywiołowości. W tej dziewczynie jest coś beznadziejnego, coś, co każe myśleć, że oto mamy przed sobą człowieka, który jest niczym w społeczeństwie, który biernie będzie brnąć przez swoje szare, bezbarwne dni, który niczego nie dokona. Tacy jak ona tworzą margines społeczeństwa. Czy naprawdę margines? Reżyser Milos Forman tłumaczy w wywiadzie:

„Nie ma sensu mówić Andulom i jej podobnym: „Stańcie się pokoleniem zdobywców kosmosu, uczonych, budowniczych..." Takie perspektywy dotyczą może dwu procent młodych ludzi. A mnie interesuje pozostałych dziewięćdziesiąt osiem procent! Właśnie dlatego, że na nich nikt nie liczy, że pozostają na marginesie bo brak im talentów, że pozostaną zawsze elementem nie decydującym o niczym w społeczeństwie, że podboje kosmosu, to nie na ich głowę."

A więc ten „margines" — to dziewięćdziesiąt osiem procent społeczeństwa pogrążonego w letargicznej, wegetacyjnej egzystencji!

Na tle małomieszczańskiej tapety dziewczyna wyje swoje ye-ye-ye. Głośno i bez przekonania. Czego jest więcej w jej twarzy: zniechęcenia, nudy czy tępoty? Trudno powiedzieć — ta twarz właściwie nie ma wyrazu. Jest martwa niemal jak maska. Nawet młodość nie zdobi tej twarzy. W takt ye-ye-ye pojawia się po dłuższej chwili na ekranie tytuł: *„Miłość blondynki".)*

Blondynka to właśnie owa Andula, o której mówił reżyser. Wyjąca brunetka jest jej współmieszkanką z hotelu robotniczego, w którym dziewczęta gnieżdżą się na piętrowych łóżkach w ciasnych, nieefektownych i niewygodnych pokoikach. Tam, czasem, gdy reszta śpi, koleżanki snują we dwójkę swe opowiadania, koloryzują szarość swoich dni, dają upust skromnym, prowincjonalnym marzeniom. Ich oczy nabierają wtedy blasku, głosy stają się bardziej miękkie. Emanuje z nich jakieś ciepło i ujmująca prostota. Poprzez bezmiar swej naiwności ujawniają, jak bardzo są bezbronne. Jest w tym ów specyficzny liryzm, który odnaleźć można było w „Czarnym Piotrusiu", a który w „Miłości blondynki" dochodzi do głosu na zmianę z komizmem. Właściwie nie na zmianę. Postaci prezentowane przez Formana są komiczne i liryczne jednocześnie, tak jak Chaplin. Film naładowany jest kapitalnym humorem, który wybucha raz po raz tworząc chwilami istną feerię komizmu. Widownię ogarnia często i na długo gromki śmiech. Ale są chwile, że ów śmiech nagle zamiera. Odsłania się wówczas gorycz, która znajdowała się na jego dnie. Wychodzi „smutek tropików". Beznadziejność. Ale nie na długo. Bo oto znowu wybuchamy niepohamowanym śmiechem. I tym smutniej robi nam się za chwilę. Postaci Formana są więc przepojone liryzmem i komizmem jednocześnie. Może dla tego właśnie nabierają wymiaru tragicznego. Ukazane z serdecznością, z ciepłem i wyrozumiałością są głęboko ludzkie; chwilami śmieszne, chwilami wzruszające. I nade wszystko prawdziwe. „Lubię ich, rozumiem ich — zwykłych ludzi" — mówił reżyser w wywiadzie. Ale nawet gdyby tych słów nie wypowiedział i tak byłyby znane. Bo oddają one atmosferę tego filmu. Bo są szczere i prawdziwe. Tak jak szczery i prawdziwy jest sam film. Jest to szczerość zdumiewająca. Trzeba nie lada odwagi, żeby życie pokazać w tak ostrym zwierciadle. Żeby nie kłamać ani trochę przed samym sobą. Nie koloryzować. Żeby tak jak Forman odrzucić wszystkie złudzenia i spojrzeć nagiej prawdzie w oczy. Żeby na tych samych ludzi móc popatrzeć z dystansem, z zewnątrz, a za chwilę utożsamić się z jedną z postaci i te same fakty, te same sytuacje przedstawić przez pryzmat jej uczuć, w świeżości jej doznań. Tak jest np. gdy przyglądamy się i przysłuchujemy kłótni rodziców Mildy zmuszonych spędzić noc we trójkę z synem w starym małżeńskim łożu wskutek przyjazdu Anduli. Komiczny jest ów ojciec, którego kant ugniata, zabawne są walki o kołdrę, śmieszna jest cała ta idiotyczna wymiana słów, która dociera do naszych uszu. Bawimy się tak przez dobrą chwilę. Ale oto widzimy Andulkę. Dla niej ta kłótnia ma wydźwięk tragiczny. Oznacza utratę złudzeń. Dziewczyna w ten okrutny sposób dowiaduje się, jak bardzo jest niechciana w tym domu, z którym w swej naiwności połączyła swe najlepsze marzenia. Została oszukana. Potraktowała na serio to, co jest wśród ludzi zdawkowością, chwilową grą kaprysów, zachcianek i frazesów. Może więc bardziej oszukała samą siebie niż została oszukana? Dziewczyna płacze. I wtedy czujemy jak bardzo bolesne jest dla niej to, z czego przed chwilą śmieliśmy się beztrosko. A wniosek? — Komiczny jest ten świat, w którym ludzie przeżywają swoje małe dramaty. Społeczeństwo, my sami, przechodzimy wobec nich obojętnie. Jesteśmy zdeterminowani i bezsilni. Okrutni i nieczuli wobec innych. Rozumiemy tylko samych siebie — wieczni egoiści.

Milos Forman — znakomity obserwator ludzkich spraw i zachowań jest odważny i bezkompromisowy. Ukazuje wszystko w wymiarach prawdziwych, z trzeźwością i ostrością dokumentarzysty. Nie upiększa i nie karykaturuje. Odrzuca patos i moralizatorstwo. Ma odwagę spojrzeć w oczy beznadziejności ludzkiej egzystencji, dostrzec żenujące nieraz ułomności i śmiesznostki natury człowieka, jego małość. Odbrązawia ludzi i społeczeństwo. Czyni to bez złości. Z humorem i serdecznie, choć bezwzględnie. Dlatego jego nonkonformizm jest tak szokujący. Dlatego w odczuciu widza graniczy wręcz z filozoficznym, intelektualnym ekshibicjonizmem.

„Miłość blondynki" to film bardzo piękny. Prawdomówny i głęboko mądry. Arcyludzki i wstrząsający. To jeden z najwybitniejszych filmów, jakie kiedykolwiek obejrzałam. Ten film, to jeszcze jeden dowód, że czeska kinematografia przeżywa swój wspaniały rozkwit.

MARIAREL

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Antoine, współczesny trubadur i jasnowłosa Karin.

WSPÓŁCZESNY TRUBADUR

■ Pierre Antoine Muraccioli urodził się 4 czerwca 1944 roku na Madagaskarze. Jest paryskim studentem i wkrótce zostanie jednym z najmłodszych inżynierów. Nosi długie, spadające aż na ramiona włosy. Wyjątkowo dyrektor uczelni zezwolił mu na to. Bowiem przyszły inżynier Muraccioli jest już we Francji i poza jej granicami śpiewakiem znanym jako Antoine. Gra ponadto na gitarze, ustnej harmonijce i fujarce, ale najchętniej śpiewa. Sprzedano już blisko dwieście tysięcy płyt z piosenkami Antoine'a. Oprócz muzyki i śpiewu ma jeszcze jedną pasję. Lubi podróżować autostopem. Zwiedził w ten sposób Europę, wędrował po Ameryce Południowej, był w Afryce. Wybiera się zawsze bez pieniędzy, tylko z gitarą. Zarabia w drodze śpiewaniem swych piosenek. Pewnego razu, gdy koncertował na małym placyku w Sztokholmie aresztować go chciał policjant, bo w Szwecji prawo nie toleruje wędrownych trubadurów. Ale wtedy szybko podbiegła do Antoine'a dziewczyna i wciągnęła go na schody pobliskiego domu. Antoine uniknął aresztowania. Dziewczyna zaś jak się okazało była szwedzka piosenkarka, piękna Karin. Ostatnio Karin przyjechała do Paryża. Będą śpiewać ona i Antoine w music-hallu „Olimpia". Tymczasem Szwedka nagrała na płytę piosenkę, której nauczył ją Antoine. Tytuł piosenki: „L'autoroute" (Autostrada).

ARTYSTYCZNE WIDELCE

■ Habbah, rzeźbiarz z Bagdadu znany ze swych artystycznych wyrobów ze srebra wystawia w Paryżu 800 srebrnych widelców z pięknie rzeźbionymi trzonkami. Rzeźby przedstawiają postacie kobiece, korony oraz... samochody.

LIST WOLTERA ZNALEZIONY NA STRYCHU

■ Zbieracz szmat znalazł niedawno na strychu jednego z domów w Genewie list Woltera. Autentyczność listu została stwierdzona przez kierownika Instytutu Woltera w Genewie. List datowany jest z 6 marca 1755, a jego adresatem był dr Francois Tronchin. Wolter skarży się w swym liście na zły stan zdrowia.

FILM O WIELKIM DYRYGENCIE

■ Jedno z amerykańskich towarzystw zamierza sfilmować życie sławnego dyrygenta włoskiego Arturo Toscaniniego (1867—1957). Podstawa scenariusza jest biografia Toscaniniego pt. „The Maestro" napisana przez Howarda Taubmana, byłego krytyka muzycznego w piśmie „New York Times".

MINISTER SIĘ WAHA

■ Francuski minister kultury André Malraux nie może się zdecydować czy udzielić pozwolenia na wywóz za granicę jednego z obrazów Fragonarda.

Niejaki p. Ribes, człowiek interesu, chce sprzedać jeden z obrazów Fragonarda za sumę 6.500.000 franków Pinakotece w Monachium. Obrazu tego nie chce nabyć żadne z muzeów francuskich, ponieważ muzea te mają dość dużo płócien Fragonarda. Obraz jednak o który chodzi może być traktowany jako pornograficzny i dlatego minister Malraux waha się czy udzielić licencji na wywóz. Podobno już trzy razy kazał sobie pokazywać ów obraz i wciąż się waha, zwlekając z decyzją. Jeśli minister wyda decyzję odmowną to najprawdopodobniej Ribes wytoczy mu proces, gdyż we Francji nie można nikomu zakazywać sprzedaży jakiejkolwiek własności, jeśli jej posiadacz potrzebuje pieniędzy, a państwo nie chce czy nie może nabyć tego od właściciela. Do jakiego postanowienia skłania się minister Malraux? Wtajemniczeni twierdzą, że minister jednak stara się o pieniądze, aby kupić obraz dla państwa i nie dopuścić do wywiezienia tego płótna do Monachium.

PISARZ, KTÓRY PIERWSZY OPISAŁ LOT NA KSIĘŻYC

■ Ostatnio w Paryżu przy Champs — Elysées otwarto wystawę poświęconą życiu i twórczości Jules Verne'a. Oprócz pamiątek po wielkim pisarzu można tu obejrzeć

Jules Verne w karykaturze. Rysował Gill w grudniu 1876 r.

plansze, rysunki, makiety i filmy ilustrujące najnowsze osiągnięcia ra dzieckie, amerykańskie i francuskie w dziedzinie astronautyki. Na ekranach paryskich wyświetlany jest film Walta Disneya pt. „20.000 mil podmorskiej żeglugi" według książki Jules Verne'a pod tym samym tytułem.

Na rynku księgarskim we Francji ukazał się ostatnio milion egzemplarzy dziesięciu dzieł wielkiego pisarza, klasyka rodzaju literackiego zwanego science fiction. Telewizja francuska, pisma codzienne i periodyki poświęcają wiele miejsca przypomnieniu dzieł pisarza, który przewidział techniczne osiągnięcia naszej epoki.

Jules Verne urodził się 8 lutego 1828 roku w Nantes. Będąc chłopcem marzy o dalekich podróżach, mając lat 11 ucieka z domu i angażuje się na statek. Podróż nie trwała długo, bo rodzice zaalarmowani ucieczką syna odbierają go wkrótce ze statku.

Po ukończeniu szkoły średniej w rodzinnym mieście, Verne udaje się w 1848 roku do Paryża, aby zgodnie z życzeniem ojca studiować prawo. Interesuje się literaturą i marzy o sławie literackiej. Théâtr Historique, wówczas pod dyrekcją Dumasa (ojca) wystawia krótką wierszowaną sztukę Verne'a pt. „Les pailles rompues" (Zerwanie). Po ukończeniu prawa Jules Verne rezygnuje z kariery prawniczej, obejmuje natomiast posadę sekretarza przy jednym z teatrów. Pisze w tym czasie powieść historyczną oraz wystawia cieszącą się znacznym powodzeniem operetkę pt. „Collin — Maillard" (Ciuciubabka).

Równocześnie pasjonuje go matematyka, fizyka, astronomia i rozwój techniki. Jest to bowiem czas szybkiego rozwoju nauk ścisłych i osiągnięć technicznych. Po raz pierwszy statek parowy przemierza Atlantyk. Faraday odkrywa zjawisko indukcji elektrycznej, powstają prace, odkrycia i teorie takich uczonych jak Joule, Helmholtz, Berthelot, Mendelejew i Darwin.

Jules Verne w nadziei lepszych zarobków zostaje po roku 1857 agentem giełdowym. Pisze w tym czasie dla teatru dwie sztuki, a następnie kończy studium o E. A. Poe i powieść fantastyczno — naukową „Pięć tygodni w balonie". Rękopis powieści składa kolejno u 15 wydawców. Wszyscy powieść odrzucają. Na talencie autora poznaje się dopiero Hetzel (o wystawie poświęconej temu wydawcy i o nim samym pisaliśmy poprzednio) który zawiera natychmiast umowę z Vernem, udzielając mu dokładnych wskazówek jak ma powieść poprawić. W ciągu zaledwie kilku lat książka uzyskuje cztery wydania o łącznym nakładzie 100 tys. egzemplarzy. „Pięć tygodni w balonie" zapoczątkowuje obszerny cykl powieści Jules Verne'a, obejmujący w sumie ponad 50 tytułów, z których najbardziej znane to: „Wyprawa do wnętrza ziemi", „Podróż na księżyc", „Dzieci kapitana Granta", „20.000 mil podmorskiej żeglugi", „W osiemdziesiąt dni dookoła świata", „Tajemnicza wyspa".

Książki Jules Verne'a przełożone zostały na 82 języki i wciąż cieszą się wielkim zainteresowaniem czytelników.

KIM JEST, POLLY MAGOO?

■ Wspominaliśmy o kręceniu filmu w Paryżu przez amerykańskiego fotografa Williama

MacGowan uważała się za brzydką dziewczynę...

MacGowan w filmie Kleina.

Kleina. Główną rolę gra Dorothy MacGowan. Jej zaangażowanie do filmu poprzedziła dość niezwykła historia. Otóż ponad rok temu Klein fotografował grupę dziewcząt rozentuzjazmowanych popisem Beatlesów. Zrobiwszy odbitki, fotograf zwrócił uwagę na jedną z dziewcząt, wśród tłumu swych rówieśniczek. Była to właśnie MacGowan, dwudziestoczteroletnia córka nowojorskiego kolejarza. Dziewczyna uważała się za tak brzydką, że niechętnie przeglądała się w lustrze. Klein dobierając dla niej odpowiednie fryzury, ubranie i maquillage, dokonał tego, że MacGowan stała się szybko jedną z najbardziej znanych modelek. Jej twarz pojawiała się często na okładkach amerykańskich ilustrowanych magazynów. Obecnie fotograf postanowił nakręcić film według własnego scenariusza „Qui êtes vous, Polly Magoo?". Będzie to satyra na domy mód i reklamę telewizyjną, a treścią filmu ma być historyjka o aktoreczce, która sama nie wie kim jest i kim chciałaby być, ale jak się następnie okazuje potrafi doskonale grać wiele rozmaitych ról. MacGowan w filmie Kleina wciela się w 36 rozmaitych postaci.

POLONICA

CZESKA DRAMATURGIA NA POLSKICH SCENACH

W praskim tygodniku „Kulturni tvorba" (z 10 marca br.) ukazał się artykuł Jana Kopecky'ego pt. „Sto let našeho dramatu v Polsku". W tym niezmiernie interesującym artykule autor przypomina, że pierwsze dramaty pisarzy czeskich grano w Polsce już w 1851 roku, m. in. we Lwowie utwory Kolara i Tyla. Wszystkie wybitniejsze sceny polskie wprowadzały do swych planów repertuarowych dramatopisarzy czeskich i słowackich. Znaczną część artykułu poświęca autor omówieniu inscenizacji dramatów czechosłowackich w Polsce po roku 1945. W ciepłych słowach pisze Jan Kopecky o inscenizacjach Leona Schillera m. in. o „Igraszkach z diabłem" Jana Drdy, wystawionych w 1948 r. w Łodzi.

O SZTUKACH WITKACEGO

Ostatnio prasa NRF i Szwajcarii pisała sporo o „Polskich Dniach Teatru" w Saarbrücken podczas których wystawiono „Tango" Mrożka, „Imiona władzy" Broszkiewicza i „Matkę" Witkacego. Stanisław Ignacy Witkiewicz został obecnie odkryty na zachodzie Europy. W Saarbrücken jego „Matkę" reżyserował gościnnie Zbigniew Stok, a w Baden-Baden Tadeusz Kantor wystawił w swej reżyserii „Szafę" tegoż autora. W „Neue Zurcher Zeitung" (z 12 marca br.) znajdujemy omówienie „Polskich Dni Teatru" w Saarbrücken, a zwłaszcza dużo miejsca poświęca autor artykułu Witkacemu, którego nazywa prekursorem teatru absurdu.

WSPÓŁPRACA POMIĘDZY ZLP A ZW. PISARZY ZSRR

„Litieraturnaja Gazieta" w swym 31 numerze zamieściła wiadomość o przybyciu do ZSRR wiceprzewodniczącego ZLP, Jerzego Putramenta oraz Antoniego Olchy.

Nasi pisarze przybyli do Moskwy, by podpisać umowę o współpracy pomiędzy Związkiem Pisarzy ZSRR a ZLP. Umowa, która wpierw została opracowana w Warszawie, potem uzupełniona w Moskwie, uwzględnia w swej treści szerszy zakres współpracy kulturalnej w roku 1966, niż w latach ubiegłych. Zostały ostatecznie rozpatrzone takie sprawy, jak wyjazdy pisarzy i tłumaczy, współpracowników wydawnictw, uczestnictwo w zjazdach, konferencjach itp. pomiędzy obu krajami.

Ze strony radzieckiej umowę podpisali: sekretarze Zarz. Zw. Pisarzy ZSRR — G. Markow, K. Woronkow, N. Gribaczow, A. Surkow, członek Zarz. Zw. Pisarzy ZSRR — W. Ozierow oraz przewodniczący komisji zagranicznej przy Zw. Pisarzy ZSRR — W. Czerniawski. (ei)

ROSJANIE O NASZYCH FILMACH

O dwóch nowych filmach „Spotkania z Warszawą" Jana Łomnickiego oraz „Homo Varsoviensis" Olgierda Budrewicza i Romana Więcka bardzo pochlebnie napisała „Sowiecka kultura" w numerze z 12 marca br.

Radziecki krytyk uważa, że te dwa filmy rozegrały pomiędzy sobą coś w rodzaju turnieju, ale ich poziom artystyczny jak i tematyka, sprawiły, że w tym szlachetnym współzawodnictwie nie było zwycięzców, ani zwyciężonych. Po prostu oba filmy są znakomite, chociaż posiadają bardzo podobne tematy.

Jeden z filmów mówi o sprawach bytowych, cechach charakteru, pracy i życiu przeciętnego warszawianina, drugi film opowiada o tym jak się tworzył, zmieniał i wzbogacał charakter przeciętnego mieszkańca nadwiślańskiej stolicy. (ei)

KSIĄŻKA O POLSCE

Na schyłku roku 1965 ukazała się w Rzymie książka Stefana de Andreis pt. „LA POLONIA DAL 1930 AL 1964" w objętości 196 stron. Książka, mająca charakter kompendium, składa się z trzech części. Pierwsza obejmuje Polskę międzywojenną, druga część — okres wojny i okupacji, trzecia — Polskę po wojnie. Stefano de Andreis zgromadził w swojej publikacji wiele dat i faktów z najświeższych dziejów Polski, opatrując je komentarzami. Niestety, nie jest to praca w pełni obiektywna, zwłaszcza gdy chodzi o powojenne dzieje kraju i narodu.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Dni Oświaty, Książki i Prasy w 1966 r. nabierają szczególnego znaczenia, bowiem będą silnym akcentem obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Przewidywane są wystawy, spotkania, kiermasze książek oraz inne imprezy, których celem będzie zapewne nie tylko propagowanie czytelnictwa, lecz również podsumowanie dorobku współczesnej nauki i twórczości na tle tysiąca lat istnienia polskiej myśli humanistycznej.

WTOREK

Tego typu próbą „podsumowania" jest „Rocznik Muzeum Sztuki w Łodzi 1930—62", pióra dr Mariana Minicha: Wydawnictwo Łódzkie. „Rocznik" opracowany przez zmarłego, wieloletniego dyrektora muzeum, daje bogaty i fachowy obraz rozwoju muzeum; ukazuje formy, metody — blaski i cienie pracy w muzeum. „Rocznik" wiedzie czytelnika przez sale wystawowe, gdzie eksponaty z różnych epok prezentują konwencje, style — od najdawniejszych do współczesnych. Te ostatnie znalazły zrozumienie i poczesne miejsce w dziele.

Treść „Rocznika" stanowią również prace: „Pojęcie ludowości w sztuce", M. G. Rubczyńskiej i „Praca oświatowa Muzeum Sztuki w Łodzi"; Wł. Cichockiego.

Edycja obficie i pragmatycznie zilustrowana.

ŚRODA

Często się widzi, ale mało o tym mówi, a może zapomina, że Teatr Telewizji Łódzkiej jest jednym z najbardziej dynamicznych teatrów telewizji. Nie jestem zwolennikiem programowego wychwalania „swego", a ganienia „obcego", lecz jeszcze mniej odpowiada mi odwrócenie sytuacji, co na ogół nie tyle świadczy o osobistej skromności, co o kompleksie niższości w odniesieniu do środowiska. Cierpiennictwo nad miarę i nadto zbędne, nie mające nic wspólnego ze zdrową troską krytyczną.

Taki na przykład Kraków: gdzie może tam orze, nie obciążając się zbytnio skromnością wobec rodzimych produktów twórczych. W „Życiu Literackim", (które już niejeden „cichy" talent „rozgłosiło" — i słusznie) w rubryce „Telewizja i życie" nigdy nie pomija się udziału w programach innych miast autorów, aktorów i reżyserów krakowskich.

Słuszne? Słuszne. Co nie znaczy, że należy zaniechać rozsądnej własnej krytyki wobec własnych błędów.

CZWARTEK

A zatem: ogłaszam wszem i wobec, od krańca do krańca, że w Nancy łódzka malarka Barbara Szajdzińska-Krawczyk odniosła wielki sukces na wystawie malarstwa kobiecego.

Oczywiście nie ma konwencji kobiecej w malarstwie, jest tylko malarstwo kobiet, które liczne było reprezentowane w Nancy.

PIĄTEK

Wilhelm Ksoll jest rzeźbiarzem-samoukiem. Mieszka w Łodzi, pochodzi ze Śląska, urodził się w Bytomiu. Na jego pracę nagrodzoną na jednej z wystaw amatorskich zwróciłem uwagę. Znam inne, późniejsze. Ksoll, rzeźbiąc od najmłodszych lat w drzewie, węglu (był jakiś czas górnikiem), opanował technikę rzeźbiarską, zachowując świeżość spojrzenia. Teraz ta ludowość wydaje mi się nieco wystylizowana. Czy to dobrze, czy źle?

SOBOTA

Repertuar teatralny m. Łodzi na rok 1966 jest chyba, w porównaniu z przekrojem ubiegłych lat, interesujący. Szereg ciekawych spektakli obejrzeliśmy i obejrzymy na łódzkich scenach.

Jeżeli chodzi o sztuki współczesne, to niewątpliwie ilość uznanych i granych już — przeważnie w stolicy — sztuk w repertuarze łódzkim wzrosła, co świadczy o większej odwadze repertuarowej i zaufaniu do łódzkiej publiczności. Gdyby tak jeszcze jakaś prapremiera?

6 NIEDZIELA

Jeszcze marzenie ściętej głowy, żeby dostać się na „Faraona" bez szczególnych subiekcji. Natomiast na „Czerwoną pustynię" Antonioniego biletów „skolko ugodno". Byłem. Nie narzekam. Dziwne, że takie puchy. „Przekrój" napisałby, że kto nie był na „Czerwonej pustyni" ten nie nadąża i nie przystaje.

Zaiste, powiadam Wam, „Przekrój" zawsze ma rację.

R. Żelazko

AGENT A-54

„Musimy mieć tego człowieka" — rozkazał obergruppenfuehrer SS Reinhard Heydrich dnia 28 września 1941 roku w gmachu Gestapo w Pradze.. Już następnego dnia gestapowcy rozpoczęli intensywne poszukiwania człowieka, który od lat przekazywał za granicę państwowe i wojskowe tajemnice Trzeciej Rzeszy. Jego pseudonimy brzmiały: Voral, Rene, dr Holm, dr Steinberg. W praskim Gestapo określono go mianem „Zdrajca X", a poszukiwania uznano za tajemnicę państwową. Gestapo wiedziało tylko tyle, że ów „Zdrajca X" mieszka w Pradze i że musi posiadać dostęp do tajemnic najwyższej wagi państwowej.

Szpiegowska działalność człowieka, którego we wrześniu 1941 roku tak intensywnie poszukiwało Gestapo, zaczęła się w lutym 1936 roku. W tym właśnie czasie czechosłowackie Ministerstwo Obrony Narodowej otrzymało dość lakoniczny, ale jak się potem okazało, ważny list. „Nadawca niniejszego — pisał ktoś — proponuje swoje usługi czechosłowackiej służbie wywiadowczej. Powody nie powinny Panów zbytnio interesować... Żądam 15.000 marek w niemieckiej walucie (starych banknotów nie przyjmę)".

W dniu 6 kwietnia 1936 roku o godz. 20.30 kandydat na szpiega spotkał się osobiście z pracownikami czechosłowackiego wywiadu, wśród których znajdował się szef wydziału służby wywiadowczej czechosłowackiego Ministerstwa Obrony Narodowej. Obie strony doszły do porozumienia i człowiek, który ofiarował swe usługi czechosłowackiemu wywiadowi został oznaczony numerem A-54 i wpisany na czechosłowacką listę agentów.

Odtąd A-54 pracuje dla Czechosłowacji wydajnie i ze zdumiewającą precyzją. Wiadomości, które przesyła są wprost sensacyjne, a ich wiarygodność potwierdzają następnie zachodzące wydarzenia. I tak np. w roku 1937 A-54 donosi, że niemieckie lotnictwo w najbliższym czasie będzie dokonywało zdjęć terenu Czechosłowacji z wysokości 10.000 metrów. Jest już do tego przygotowana specjalna grupa samolotów, która znajduje się w gotowości do wykonania tych zadań.

Pod koniec tegoż roku agent A-54 składa dokładny meldunek o tym, co zakomunikował Hitler dowódcom sił lądowych, marynarki i lotnictwa na tajnym posiedzeniu. Hitler powiedział wtedy, że Czechosłowacja jako państwo ma być w najbliższym czasie wymazana z mapy.

W dniu 3 marca 1939 roku agent A-54 spotyka się na terenie Czechosłowacji z przedstawicielem czechosłowackiego wywiadu i autem udają się do Pragi. Tu A-54 melduje, że w Berlinie zapadła już decyzja ostateczna. Czechosłowacja ma istnieć najdłużej do dnia 15 marca. Oficerowie czechosłowackiego wywiadu przygotowują się do ewakuacji. Agent A-54 oświadcza, że będzie nadal przesyłał swoje meldunki do funkcjonariuszy czechosłowackiego wywiadu, gdy będą na emigracji. Zaznacza przy tym, że od tej pory nie będzie za te wiadomości żądał honorarium. W dniu 14 marca dokładnie o dzień wcześniej niż wojska niemieckie przekraczają granicę Czechosłowacji, oficerowie wywiadu przewożą dokumenty ciężarowym autem do poselstwa brytyjskiego. Anglicy przekazują je na lotnisko, skąd specjalny samolot wywozi tajne papiery do Anglii. Na pokładzie samolotu znajdują się niektórzy spośród wyższych oficerów czechosłowackiego wywiadu.

Jest maj 1939 roku. Agent A-54 nadal pracuje dla czechosłowackiego wywiadu, znajdującego się teraz na emigracji w Londynie. Wiadomości przekazywane są przez Szwecję, Holandię i Szwajcarię.

Jedna z wiadomości od agenta A-54 w początkach sierpnia 1939 roku brzmiała: „Napaść na Polskę przygotowywana jest na najbliższe tygodnie". Dalsze informacje są jeszcze dokładniejsze. Donosi on, że między 20 a 30 sierpnia należy oczekiwać działań wojennych, przy czym dnie 26 lub 27 sierpnia będą najprawdopodobniej dniami krytycznymi. Jak się potem okazało, Hitler istotnie przygotowywał agresję na Polskę na dzień 26 sierpnia i dopiero w dniu 25 przesunął ten termin o kilka dni później. Od początku kwietnia 1940 roku agent A-54 donosi o przygotowaniach niemieckich do uderzenia na Francję i Wielką Brytanię poprzez terytorium Belgii i Holandii. Później podobne ostrzeżenia wysyła informując o hitlerowskich zamiarach uderzenia na ZSRR.

W dniu 20 marca 1942 roku agent A-54 zostaje schwytany przez Gestapo. Okazuje się, że jest to Paul Thümmel, wieloletni przyjaciel Himmlera, wieloletni członek NSDAP, pracownik niemieckiego wywiadu.

Jak to się stało, że Paul Thümmel został agentem czechosłowackiej służby wywiadowczej?

Urodził się w dniu 15 stycznia 1902 roku w Neuhausen (miasto położone w okolicy łańcucha górskiego na granicy niemiecko-czechosłowackiej, Rudawy). Rodzice Paula mieli tu piekarnię, a on sam także uczył się fachu piekarskiego. W roku 1927 Paul Thümmel był jednym z założycieli miejscowej grupy NSDAP. Zdarzyło się kiedyś, że na zebranie hitlerowców przyjechał wypróbowany mówca nazistowski, z zawodu hodowca drobiu Heinrich Himmler. Po zebraniu ojciec Paula ofiarował Himmlerowi nocleg. Gościowi bardzo smakowały bułeczki z piekarni Thümmelów, a rodzina piekarzy tak mu przypadła do gustu, że odtąd między nim a Thümmelami nawiązała się serdeczna przyjaźń. Po zdobyciu władzy przez hitlerowców Himmler wysoko postawiony w hierarchii partyjnej, nie zapomina o swym przyjacielu Paulu, długoletnim i zasłużonym członku NSDAP. Paul Thümmel uhonorowany złotą odznaką partyjną, zostaje pracownikiem wojskowego wywiadu pod zwierzchnictwem admirała Canarisa (admirał Canaris w czasie drugiej wojny światowej kierował wywiadem wojskowym. Straconny został w 1945 r. jako jeden z uczestników spisku przeciw Hitlerowi). W krótkim czasie Paul Thümmel staje się głównym agentem (Hauptvertrauensmann) wojskowego wywiadu niemieckiego w Dreźnie.

Były czeladnik piekarski popada jednak, na skutek przygód miłosnych, w poważne trudności finansowe. Pewnej lutowej nocy w roku 1936 Thümmel wsiada do pociągu i przejeżdża czechosłowacką granicę. Na terenie Czechosłowacji wrzuca do skrzynki pocztowej list. Koperta adresowana jest do czechosłowackiego Ministerstwa Obrony Narodowej. Wydział Wywiadu w Pradze.

W tej właśnie kopercie znajdował się list z ofertą współpracy z wywiadem czechosłowackim.

6 kwietnia 1936 roku Thümmel zostaje agentem A-54.

Po zajęciu Czechosłowacji przez Hitlera, Thümmel wciąż zaufany pracownik niemieckiego wywiadu, zajmuje trzypokojowe mieszkanie w Pradze, skąd wysyła raporty do czechosłowackiego wywiadu na emigracji.

W lecie 1940 roku Thümmel zostaje wezwany przez swego przyjaciela Himmlera do Berlina. Rozmowa z Himmlerem utwierdza go w tym, że pogłoski krążące w kołach kierowniczych Trzeciej Rzeszy o planowanej przez Niemców nowej agresji są prawdziwe. Thümmel w trakcie rozmowy z Himmlerem mówi: „Nie mogę już dłużej się zatrzymywać". Himmler: „Siadaj! Co masz w domu do roboty? Czy twój ojciec piecze nadal takie smaczne bułeczki?" Thümmel odpowiada: „Bardzo chciałby piec, ale mąka coraz to gorsza". Na to Himmler: „Już niedługo będziemy mieli znakomitą mąkę". Thümmel udając, że nie rozumie o co chodzi, mówi: „Francuzi nie są dobrymi rolnikami". Na to Himmler: „Oczywiście, że nie są. Ale ja nie o Francuzach myślę". W sześć miesięcy później, gdy nawet generałowie hitlerowskiej armii nic nie wiedzieli o szczegółach przygotowywanej kampanii wojennej Thümmel wysyłał meldunek do Londynu: „Do napaści na Związek Radziecki może dojść w pierwszej połowie roku 1941" Benesz otrzymywane wiadomości przekazuje Anglikom. Churchill na podstawie informacji otrzymanych od Benesza zawiadamia Stalina w dniu 3 kwietnia 1941 roku o planowanej przez Hitlera agresji na ZSRR.

Agent A-54 informuje Czechosłowaków nie tylko o projektowanych terminach rozpoczęcia działań wojennych lub planach operacyjnych. Przesyła listy szpiegów niemieckich, pracujących za granicą, ostrzega czechosłowackich członków ruchu oporu przed aresztowaniami przez Gestapo. Ale równocześnie ściąga na swoją działalność uwagę niemieckiej służby wywiadowczej. Wreszcie Gestapo dochodzi do wniosku, że „Zdrajca X", Voral, Rene, Franta, dr Holm i dr Steinberg to jedna i ta sama osoba i to taka osoba, która ma dostęp do najbardziej strzeżonych tajemnic wojskowych.

Aresztowany w dniu 20 marca 1942 roku Paul Thümmel zostaje stracony 20. 4. 1945. r.

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

O PIWIE I SAMOCHODACH

Ledwieśmy powiesili płaszcze na wieszakach, gęsto rozstawionych po sali, ledwie usiedliśmy przy stoliku, podeszła kelnerka z kartą w ręce i przyjęła zamówienie. W moment po jej odejściu zjawiła się inna, młodsza, z tacą zastawioną pełnymi kuflami piwa. Podkreślam: pełnymi. Rozumiem przez to, że płyn wypełniał szklane naczynie równiutko po brzegi, płyn, a nie warstwa piany, zręcznie spiętrzona odpowiednim sposobem nalewania piwa z kranu. — Czy panowie będą pić piwo? — zapytała uprzejmie panienka — czy coś innego? Może soki?

Z sokami nadchodziła właśnie trzecia, krążąc między stolikami. Kielichy na jej tacy były tak bajecznie kolorowe i apetyczne, że — choć wcale nie mieliśmy zamiaru — zamówiliśmy. To najdziwniejsze, zielone.

Potem był obiad, a w chwilę po odłożeniu widelca podjechała ze stolikiem na kółkach jeszcze inna panienka. Ta znów miała słodkości różne, ciastka i owoce. Barwne, aż ślinka ciekła...

No dobrze, powiem wreszcie, gdzie to było. Wcale nie w bajce, wcale nie w kinie. W zwyczajnej, taniej, masowo odwiedzanej restauracji hotelowej, w czeskim mieście Gottwaldowie. Nie w tej na drugim piętrze, gdzie strój wieczorowy, zupa żółwiowa i te de. W „Moskwie", z hallu w lewo, na parterze. Dziwny lokal, gdzie kelnerzy naprawdę chcą sprzedać, chcą czynnie, wychodzą naprzeciw.

Z tą dziwnością spotykaliśmy się wszędzie. Nawet w sklepach, wyobraźcie sobie, ekspedientki chcą swój towar sprzedać i czynią po temu duże starania. Proponują. Zachęcają. Jak nie to, to może tamto? Prosim was...

Czy warto znów o tym pisać? Ileż to już felietonów poświęcono bezsilności i bezskuteczności wołania na puszczy. A nagle człowiek raz się wychyli za miedzę i stwierdza, że może być inaczej! Nie tylko tak, że wchodzę do sklepu z gorącą chęcią wydania dużej sumy — półtora tysiąca złotych! — pytam o płaszcz męski rozmiar sto osiemdziesiąt na pięćdziesiąt dwa, smutną dziewica odpowiada z miejsca, że nie ma, a czytam pierwszą z brzegu metkę i okazuje się, że właśnie jest! — Ach, taki? — dziwi się sprzedawczyni, choć przedtem wcale nie pytała, o jaki chodzi. No, ale to z tej strony miedzy.

Z tamtej strony, w Brnie, Ostrawie, Gottwaldowie — parkingi zapchane samochodami. Przed instytucjami czekają całe szeregi. Ciekawe, jak oni użytkują służbowe wozy. Czy podobnie jak u nas?

U nas mianowicie użytkuje się nielegalnie. To zresztą nie żaden wyjątek, wiele oczywistych, najzupełniej jawnie wykonywanych czynności jest w świetle obowiązujących przepisów co najmniej wykroczeniem. Jest przecież przepis — ostatnio kategorycznie przypominany — że na trasie, na której istnieje połączenie kolejowe, używanie samochodów służbowych jest niedopuszczalne. Nie ma większego miasta, do którego nie można by dojechać koleją. Niechby jednak ktoś stanął na rogatce Łodzi i policzył, ile dziesiątków służbowych wozów wali jednego dnia do Warszawy. Nikogo to nie dziwi, samochody po to są, żeby dyrektor nie był zależny od rozkładu jazdy, dziwią raczej przepisy. Niedopuszczalne!

W obrębie miasta, według tych samych zarządzeń, należy posługiwać się przede wszystkim środkami komunikacji miejskiej. Co to znaczy: przede wszystkim? Czy — żeby być w absolutnej zgodzie z literą prawa — należy każdorazowo udowodnić, że wyczerpało się wszystkie możliwości jazdy tramwajem i autobusem, że nie było miejsca nawet na zderzaku? Czy środkiem komunikacji miejskiej jest także taksówka, należąca do miejskiego przedsiębiorstwa taksówkowego?

Pomijam już inne ucha igielne, przez które przeciskać się powinien dyrektor ze swoim samochodem: a to uzyskanie etatu, a to uwzględnienie w planie inwestycyjnym i finansowym, wygospodarowanie pokrycia, uzyskanie przydziału, asygnaty, realizacja asygnaty, uzgodnienie z Radą Narodową dozwolonego promienia wyjazdu — cała skomplikowana wiedza, i nagle okazuje się, że w tym promieniu są także tramwaje!

To co, nie jeździć samochodem? Głupstwo. Omija się igielne ucha i jeździ się, aż szum idzie, powielając jednocześnie odnośne zarządzenia i przesyłając je coraz niżej, do jednostek terenowych, które również zarządzeniami tymi się nie przejmą.

Czy tak samo wyglądają te sprawy za miedzą, czy też różnią się od naszych tak, jak różnią się obie gastronomie?

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1010 IV 66. E-11